TY TEŻ MOŻESZ URATOWAĆ ŚWIAT

napisała **Justyna Bednarek**

narysowała **Joanna Czaplewska**

Ekoopowieści z Pietruszkowej Woli

Ty też możesz uratować świat

napisała **Justyna Bednarek**

narysowała **Joanna Czaplewska**

TY TEŻ MOŻESZ URATOWAĆ ŚWIAT

Ekoopowieści z Pietruszkowej Woli

2020

Fundacja ING Dzieciom

ING

spis treści

Precz ze smogiem
str. **6**

Plastik nie jest fantastic
str. **20**

Uważaj, co kupujesz
str. **34**

Długa historia przedmiotów
str. **46**

A gdyby tak się podzielić?
str. **60**

I ty możesz uratować orangutana. Albo konia.
str. **70**

Oszczędzamy, pomagamy
str. **82**

Najfajniejsza Gwiazdka bez pieniędzy
str. **92**

Taka zima to nie zima
str. **104**

rozdział 1.

PRZEDSMAK

Z pamiętnika Matyldy

7 lutego: Nie, nie i jeszcze raz nie! Tego nie robi się dzieciom. Bezwstydnie nas okłamali, powiedzieli, że po przeprowadzce do Pietruszkowej Woli będziemy żyć jak królowie... A my daliśmy się podejść, ech...

„Zobaczycie, bliźniaki, że będzie super!" – powtarzał tata. Ani słowem jednak nie wspomniał, że zamieszkamy w tej koszmarnej dziurze! Nic tu nie ma! Ani basenu, ani kina, ani... ani nic. Pola aż po horyzont. Las. Domy, które wyglądają, jakby miał je zdmuchnąć wiatr. Mama oczywiście nie posiadała się ze szczęścia: „Będziemy mieć pomidory prosto z krzaczka! Będziemy hodować marchewki! Wreszcie sprawimy sobie jamnika!".

Z tym jamnikiem to jej całkiem odbiło. Jeszcze na dobre nie wyprowadziliśmy się z Warszawy, a ona już przywlokła do domu rudego sierściucha z urwanym koniuszkiem ucha. Podobno nikt go nie chciał wziąć ze schroniska. No, ja się nie dziwię. Co prawda Marcel uznał, że pies jest fajny – zaraz zaczął się z nim turlać po podłodze. Zdrajca. Powinien okazywać niezadowolenie, tak jak ja. Ale jemu bardzo się spodobało, że nie będziemy musieli chodzić do naszej starej szkoły. „Ja ci mówię, Matylda, w wiejskich szkołach mniej zadają" – oświadczył. Może gdyby zamiast tego mnie poparł, rodzice by się ugięli i zrezygnowali z przeprowadzki?

8 lutego: Jamnik pogryzł mi długopis, a pisanie kredką jest strasznie niewygodne. Nie mogę jednak nie wspomnieć o jednej rzeczy: według kalendarza, który wisi w kuchni, słońce miało dziś wzejść pięć po siódmej. Tymczasem jest piętnaście po ósmej, a na dworze panują ciemności, jakby wzięło sobie urlop od świecenia! Może to koniec świata?!

9 lutego: Niestety świat trwa w najlepsze, dlatego dziś po raz pierwszy ja i Marcel idziemy do nowej szkoły. Bierzemy ze sobą latarki, bo tu ciągle jest okropnie ciemno, no i już wiem dlaczego. To przez smog! Gęsty jak szarobura mgła! Nie jestem pewna, czy w ogóle trafimy do szkoły...

Opowieść o smogu i paskudnym dyrektorze Paskudku

W Pietruszkowej Woli wszystko wyglądało jak należy: domy stały na swoim miejscu, sklepy otwierały się codziennie rano i zamykały wieczorem, szkoła była pomalowana na zielono (a wiadomo, że zielony to najfajniejszy kolor), w bibliotece ustawiała się kolejka po książki, a właściciel wypożyczalni kajaków urządzał spływy dla dzieciaków z okolicy. Ach, zapomniałabym! W miasteczku znajdowała się też niewielka fabryka gumowych kaczek. Mieszkańcy, gdy rozmowy schodziły na fabryczkę, wzruszali ramionami, jakby chcieli powiedzieć: „No trudno, nie jesteśmy z tego powodu bardzo szczęśliwi, ale przecież gdzieś te kaczki muszą robić, a ludzie muszą gdzieś pracować".

Właściciel fabryki, pan Bohdan Paskudek („DYREKTOR Paskudek" – jak lubił podkreślać, unosząc palec) był człowiekiem okrągłym i na pierwszy rzut oka sympatycznym. Na drugi rzut oka – również. Ale gdyby mu się przyjrzeć uważnie po raz trzeci... No cóż. Do tej jego sympatyczności jeszcze za moment wrócimy, a teraz skupmy się na czymś istotniejszym. Bo był dyrektor Paskudek człowiekiem o ambicjach większych niż największa paskuda. Po prostu chciał zostać królem świata, a przynajmniej najważniejszą osobą w Pietruszkowej Woli, czyli burmistrzem. A wybory zbliżały się wielkimi krokami. I dlatego także Paskudek robił mnóstwo kroków – wszędzie go było pełno. Gdy oddano do użytku nowy stojak na rowery, on przecinał wstęgę. Gdy ugaszono

płonącą stodołę i strażacy, szczęśliwi, że im się udało, ocierali pot z czoła i popijali sok malinowy, Paskudek udzielał wywiadu dziennikarzowi lokalnej gazety, zupełnie jakby to on biegł z sikawką i polewał wszystko pianą. A znowuż gdy zebrano pieniądze na nową sztuczną nogę dla dyrektora szkoły, właściciel fabryki gumowych kaczek, który dołożył do protezy zaledwie dwa grosze, chwalił się na prawo i lewo swoją hojnością. Dalsze przykłady jego paskudnego postępowania można by mnożyć, gdyby nie to, że szkoda mi czasu. To zresztą wszystko drobiazg. Bo pewnego dnia Paskudek zrobił coś znacznie gorszego.

Tego ranka do jego biura zapukał pan Czesław. Pan Czesław pracował w fabryce od dwudziestu lat. To on malował kaczkom dzioby na pomarańczowo i oczy na niebiesko.

– Panie dyrektorze – powiedział nieśmiało, gdy ze środka biura padło uprzejme: „Wlazł!". – Mamy kłopot.

– A jakiż to kłopot mamy, panie Cześku? – Paskudek uniósł lewą brew.

– Nie mamy gdzie składować uszkodzonych kaczek. Od początku istnienia fabryki wszystkie wybrakowane egzemplarze chowaliśmy w piwnicy.

– No i? – Dyrektor nie wyglądał na specjalnie przejętego.

– No i właśnie skończyło nam się miejsce.

Dyrektor podumał chwilę, podrapał się po głowie, a potem spytał, nieco mniej pewnie:

– A nie da się ich, panie Cześku, zutylizować?

– Zutyli... co? – zająknął się poczciwy pan Czesław.

– Noo... coś z nimi zrobić. Bo ja wiem? Może wypuścić je po prostu na rzekę? Niech płyną, dzikie ptaki!

– Panie dyrektorze! Toż to by było zaśmiecanie wody, jeszcze nam wlepią mandat!

– A skąd będą wiedzieć, że to my? – zapytał podstępnie dyrektor Paskudek.

– Ano stąd, że tylko my w całej okolicy produkujemy gumowe kaczki! – Pan Czesław wziął się pod boki.

Dyrektor skrzywił się niechętnie, ale musiał mu przyznać rację.

– No dobrze – powiedział. – Trzeba się więc ich pozbyć w inny sposób.

– Jaki? – zaciekawił się pan Czesław.

– Spalisz je, mój drogi, w piecu.

– Nie podoba mi się ten pomysł, panie dyrektorze!

– Trudno. – Dyrektor wzruszył ramionami. – Albo mnie posłuchasz, albo...

Nie musiał kończyć. Czesław zrozumiał. Jeśli nie posłucha Paskudka, ten zwolni go z pracy. A dokąd on, biedaczyna, pójdzie?

Tydzień później, w wyjątkowo mroźny dzień – a był to akurat koniec ferii zimowych – nad całą Pietruszkową Wolą zaczął się unosić czarny dym. Oczywiście dym nie pochodził tylko z płonących gumowych kaczek. Trochę brało się go także z palenia węgla i drewna w przydomowych piecach, trochę z rur wydechowych samochodów, trochę przyleciało znad wielkiej elektrowni pracującej kilka kilometrów za miasteczkiem. Tylko że ten kaczy cuchnął najmocniej i był najgęstszy. To był dym, jakiego nikt jeszcze na oczy nie widział. Zasnuł całe niebo i nie przepuszczał promieni słońca.

I w tym właśnie dymie ludzie nagle zaczęli się gubić. Jako pierwszy pan Czesław. Nic dziwnego, wokół jego domu dymiło najbardziej, dlatego zamiast ruszyć ścieżką biegnącą nieco na prawo, skierował się odrobinę na lewo. A obie dróżki, choć biegły obok siebie, prowadziły do innego

celu. I tak, myśląc, że wchodzi do fabryki kaczek, pan Czesław wszedł do zieleniaka pani Aleksandry. Niestety tu także panowała ciemność, bo pani Aleksandra nie mogła znaleźć włącznika światła. Za to zapach był odrobinę przyjemniejszy niż na zewnątrz.

– No, tu pachnie odrobinę lepiej – zdziwił się od progu pan Czesław.

– Nic dziwnego, w końcu mamy tu same ładnie pachnące rzeczy – powiedziała w ciemność sklepikarka.

– Oj, nie jestem przekonany – odparł pan Czesiek, myśląc, że rozmawia z koleżanką z pracy. – Te żółte potworki nielicho cuchną.

– Też coś! – Oburzona pani Aleksandra pomyślała, że pan Czesław mówi o jej żółtych jabłkach odmiany złoty delicjusz, i poczuła się osobiście dotknięta. – Zaraz pan zobaczy, że nie sprzedaję żadnych potworków! Proszę szybko otworzyć buzię, aaaaaaa!

Pan Czesław zgłupiał.

– Ale po co? – zapytał nieśmiało.

– Udowodnię panu, że w moim sadzie rosną same pyszności! No szybko, aaaaaa!

– Kaczki rosną w pani sadzie?!

– Jakie znowu kaczki? Niech się pan nie miga, tylko otwiera usta!

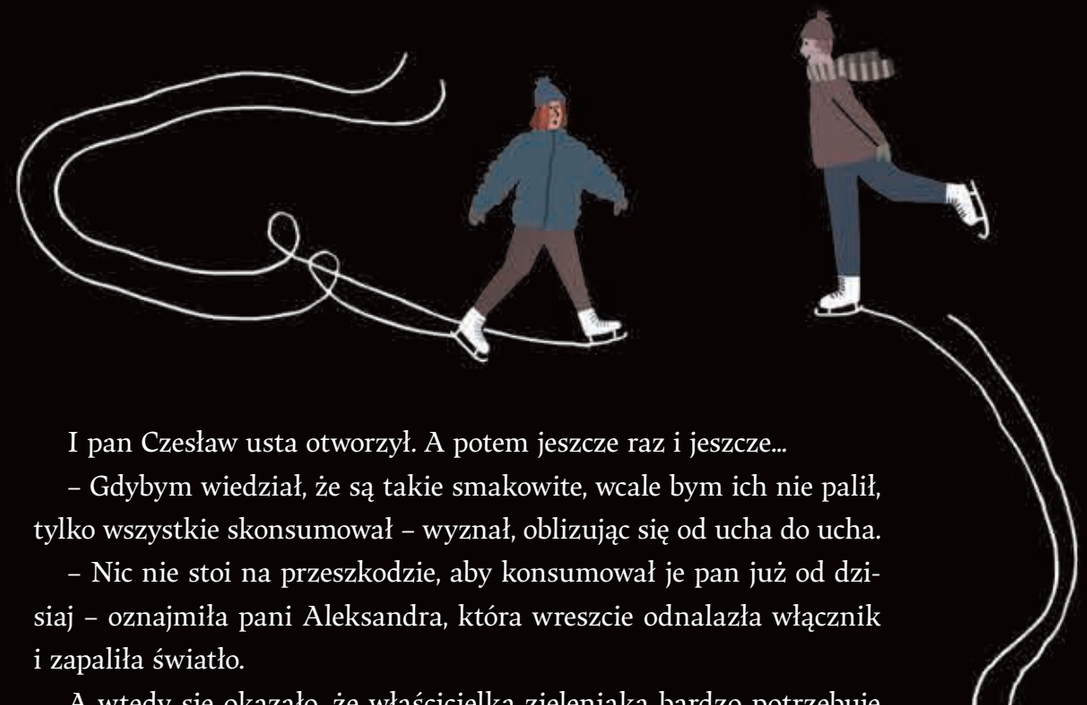

I pan Czesław usta otworzył. A potem jeszcze raz i jeszcze...

– Gdybym wiedział, że są takie smakowite, wcale bym ich nie palił, tylko wszystkie skonsumował – wyznał, oblizując się od ucha do ucha.

– Nic nie stoi na przeszkodzie, aby konsumował je pan już od dzisiaj – oznajmiła pani Aleksandra, która wreszcie odnalazła włącznik i zapaliła światło.

A wtedy się okazało, że właścicielka zieleniaka bardzo potrzebuje pomocnika, i pan Czesław – który w gruncie rzeczy był bardzo porządnym człowiekiem i nie lubił zadymiać okolicy – natychmiast zmienił miejsce zatrudnienia.

Nie była to jedyna tego dnia pomyłka. Nieśmiały Tadeusz Supełek, zakochany bez pamięci w Eugenii Kurzydło, przez przypadek wmaszerował do jej domu i zwierzył się egipskim ciemnościom z tego, że pragnie, by Eugenia została jego żoną. A ona się zgodziła. Bliźniaki Marcel i Matylda, zamiast pójść do szkoły, trafiły na lodowisko i bardzo miło spędziły czas na ślizganiu się po ciemku. Natomiast ich mama, zamiast dotrzeć do swojej nowej pracy w szkolnej bibliotece, zaplątała się na zebranie mieszkańców Pietruszkowej Woli, którzy wkrótce mieli wybrać burmistrza...

Nieco gorzej powiodło się Bohdanowi Paskudkowi. Tego ranka on także pomylił drogę do fabryki. I wylądował w szkole. W klasie było

ciemno, choć oko wykol, ale to nie przeszkadzało matematykowi w prowadzeniu lekcji.

– Policzymy to sobie w pamięci – stwierdził surowo. – Jeśli od dwudziestu tysięcy stu czterdziestu pięciu gumowych kaczek odejmiemy siedemnaście tysięcy sto dwadzieścia cztery, a wynik podzielimy przez trzy i jeszcze pomnożymy przez trzy czwarte, to ile zostanie?

– Mam nadzieję, mój drogi, że nic. Przecież kazałem ci spalić wszystkie! – oświadczył Paskudek, ogromnie z siebie zadowolony. Myślał, że rozmawia z Czesławem.

– Źle, pała! A za palenie gumowych kaczek dwie pały! – powiedział nauczyciel. Po czym powolutku podszedł do ławki, w której umościł się Paskudek, przekonany, że to jego biurko. – Czy myśmy się przypadkiem kiedyś nie spotkali? – wysyczał. – Bohdan, to ty?!

– Nie przypominam sobie, żebyśmy byli po imieniu! – Naburmuszony dyrektor zamierzał zganić podwładnego, ale w tym momencie czyjaś ręka wylądowała na jego ramieniu i wyciągnęła go z ławki.

– Bohdan Paskudek! Wiedziałem, że to ty! – zawołał rozgniewany nauczyciel. – Zawsze poznam głos swojego najsłabszego ucznia! Nie uczyłeś się i oto wyniki! Palisz gumowe kaczki, zamiast zająć się czymś pożytecznym! Produkujesz smog, zamiast czynić dobro! Wstyd mi za ciebie!

I tak wszystko się wydało. A że do szkolnej sali oprócz dyrektora Paskudka niechcący zboczył także komisarz Marciniak, nie trzeba było nawet wzywać policji.

O, wstydzie! O, klęsko! Bohdan Paskudek, najbogatszy mieszkaniec Pietruszkowej Woli, kandydat na burmistrza i znany producent gumowych kaczek, został wyprowadzony ze szkoły w kajdankach i tak skończyła się jego błyskotliwa kariera.

Skończyło się także palenie kaczek i po paru godzinach ciemności ustąpiły. Aczkolwiek do zlikwidowania smogu trzeba było czegoś więcej...

Z pamiętnika Marcela

7 lutego: Mieszkamy w Pietruszkowej Woli zaledwie od kilku dni, a już taka życiowa rewolucja! Po pierwsze – mamy jamnika. Jest prześliczny i bardzo mądry. Nazwałem go Urwis, bo ma urwane ucho. Potrafi kopać doły w śniegu i ukraść jedzenie z dowolnego miejsca. Któregoś dnia tata rozmawiał przez telefon i jednocześnie smażył racuchy. Na moment się odwrócił, a ten mały spryciarz zwędził wszystkie z rozgrzanej patelni. Udawał, że to nie on, ale zdradziły go tłuste ślady na legowisku. Po drugie... Kiedy indziej napiszę, bo właśnie muszę z nim biec na spacer!

6 marca: Przez tę historię z paleniem kaczek mama dała się poznać jako specjalistka od smogu. Jeszcze w lutym niechcący trafiła na zebranie mieszkańców i opowiedziała im wszystko, co wie na ten temat. Że najlepiej byłoby wymienić stare piece na węgiel i drewno i zamontować nowoczesne, na przykład gazowe. A w ogóle najlepiej by było, gdyby każdy miał na dachu panele fotowoltaiczne zmieniające promienie słońca w energię elektryczną. Oczywiście na takie panele nie każdy może sobie od razu pozwolić... Natomiast każdy może spróbować mniej jeździć samochodem. (Czyli przesiąść się na rower, hurra! Albo na hulajnogę!). No i posadzić kilka drzew. Bo drzewa to prawdziwi mocarze – poprawiają jakość powietrza. To wszystko powiedziała mama na tym zebraniu, na które zabłądziła – i co? I niedługo później wybrano ją na burmistrzynię Pietruszkowej Woli! Zgodziła się na to – ale pod takim warunkiem, że będzie mogła przychodzić do pracy z psem.

10 marca: Mama była po raz pierwszy w biurze burmistrza. Urwisowi bardzo się tam spodobało, bo od razu zrobił siusiu na dywan.

Z niezbędnika ekologa

Drzewa – najlepsza broń przeciwko smogowi

Tak jest! Drzewa pomagają w walce ze smogiem, bo rośliny neutralizują zanieczyszczenia powietrza. Pochłaniają dwutlenek węgla, który dla nich jest źródłem pokarmu, a także inne substancje powstające na skutek spalania w przydomowych piecach grzewczych. Gęsto zadrzewione parki sprawiają, że w ich okolicy powietrze jest prawie całkowicie pozbawione szkodliwych pyłów. Zimą walkę ze smogiem ułatwiają rośliny iglaste, bo igły pokrywa naturalny wosk ściągający cząstki pyłów. Dlatego źle się dzieje, gdy wycinamy dużo drzew. Trzeba je sadzić!

Jak oczyszczać powietrze w... domu

Można oczywiście kupić nowoczesny oczyszczacz z filtrem. Lecz sojusznikiem człowieka w walce o czyste powietrze są także rośliny doniczkowe. Niektóre z nich wyspecjalizowały się w pochłanianiu różnych zanieczyszczeń. Na przykład pochodząca z tropików wężownica (1), znana też jako sansewieria, zwykła paprotka (2) czy palma bambusowa (3), która w dodatku pięknie wygląda. Czy to faktycznie działa? Tak, chociaż zdaniem naukowców trzeba by ustawić co najmniej dziesięć doniczek na metr kwadratowy, żeby jakość powietrza w mieszkaniu zauważalnie wzrosła!

Dobrym pomysłem jest także stosowanie nawilżacza powietrza z jonizatorem. Dzięki jonom ujemnym kurz i drobinki zanieczyszczeń opadają na meble i podłogę. Fakt, jest trochę sprzątania, ale my tego nie wdychamy. Każdy z was może również nawilżać powietrze bez pomocy skomplikowanych urządzeń: wystarczy umieścić na kaloryferze wilgotny ręcznik albo naczynie ceramiczne z wodą.

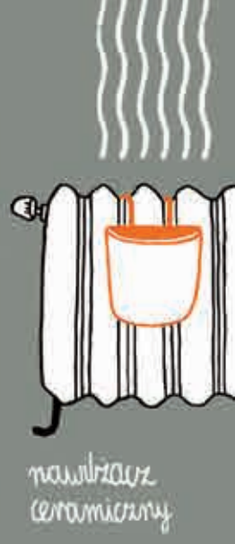

Wielka ucieczka kaczek

W styczniu 1992 roku, podczas sztormu na Pacyfiku, fala zmyła z pokładu pewnego statku kilkadziesiąt tysięcy zabawek z gumy, a ściślej, z plastiku – w tym żółte kaczki, które miały trafić do sklepów na całym świecie. Dwie trzecie popłynęły na południe i wylądowały w Indonezji, Australii i Ameryce Południowej. Pozostała jedna trzecia skierowała się na północ, w stronę Alaski. Ruchy kaczek na Pacyfiku pozwoliły oceanografom zbadać dokładnie prądy morskie. Wyobrażacie sobie te kaczuchy płynące wśród rekinów i wielorybów? Musiało to śmiesznie wyglądać. Taka ilość plastiku w oceanie nie jest naturalnie niczym dobrym, dlatego producent wyznaczył nagrody pieniężne dla wszystkich, którzy by znaleźli i dostarczyli zaginione zabawki.

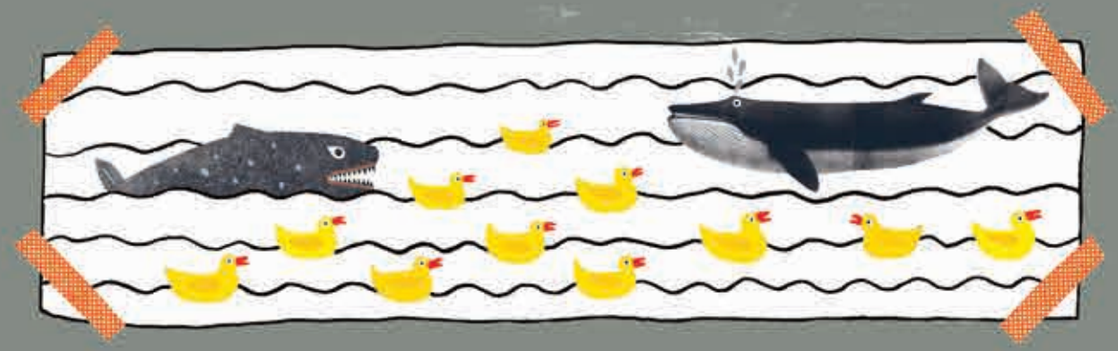

rozdział 2.

PLASTIK NIE JEST FANTASTIC

Z pamiętnika Matyldy

15 marca: Przez cały dzień robiliśmy dziś marzannę, którą niebawem będziemy topić w rzeczce Rudce przepływającej przez Pietruszkową Wolę. Tak się tutaj obchodzi pierwszy dzień wiosny. Nasza wychowawczyni, pani Szczypiorek, kazała nam przynieść z domu różne plastiki, sznurki i materiały – z nich powstała dama do topienia wielkości człowieka. Miała głowę z białego plastikowego wiadra po farbie, a resztę ciała z worków na śmieci, do których wepchnęliśmy mnóstwo torebek foliowych. Ubraliśmy ją w stary fartuch w kwiaty, wcisnęliśmy jej na nogi gumiaki. Wyglądała dość groźnie i pewnie dlatego z przyjemnością myślałam o tym, że wyląduje w rzece.

20 marca: Dzisiaj miałam dzień tęsknoty. Od rana myślałam o swojej starej szkole. Wspominałam, jak fajnie bawiliśmy się rok temu.

Pierwszego dnia wiosny przebraliśmy się w różne dziwne stroje. Jeden z kolegów naciągnął na głowę czarną podkolanówkę, do której doszył zielone włosy ze sprutego swetra. Oczywiście zrobił małe dziurki na oczy, ale nikt go nie potrafił w tym przebraniu rozpoznać. Inny znowu obwiesił się starymi płytami kompaktowymi i udawał robota. Natomiast Marcel przebrał się za mnie, a ja za Marcela. Wszyscy pękali ze śmiechu, kiedy nauczyciele mówili do mnie jak do chłopca, a do mojego brata bliźniaka – jak do dziewczynki. Marcelowi opłaciła się ta zamiana, bo pan Twarożek, który uczył nas matematyki, wziął mnie do tablicy i kazał mi rozwiązać zadanie. A potem postawił za to szóstkę Marcelowi. „Widzisz, kolego, jak się postarasz, to od razu widać wyniki!" – powiedział, a ja bardzo się starałam zachować powagę. Potem jednak, kiedy opuściliśmy klasę, pan Twarożek szepnął mojemu bratu na ucho: „Podziękuj siostrze! I pamiętaj: pierwszy dzień wiosny mamy tylko raz do roku!".

Z panią Szczypiorek tak łatwo by chyba nie poszło...

21 marca: Topiliśmy dziś marzannę. A właściwie mieliśmy ją topić. Poszliśmy nad Rudkę z panią Szczypiorek, stanęliśmy na mostku i już chcieliśmy wrzucić kukłę do wody, gdy nagle, nie wiadomo skąd, przyplątał się ten wstręciuch Urwis. Nie spodobała mu się nasza lalka, oj, nie! Zaczął na nią szczekać, a potem nagle podskoczył, wbił w nią ostre ząbki i rozerwał jej bok. Z dziury natychmiast wysypały się torebki foliowe, którymi była wypchana. Dokładnie w tej samej chwili powiał wiatr. Porwał w górę kawałki plastiku i cisnął je prosto do Rudki.

„No to będziemy mieć Brudkę, nie Rudkę" – zmartwiła się pani Szczypiorek. A potem dodała: „To chyba nie był dobry pomysł".

A zatem z topienia nic nie wyszło. Wróciliśmy smutni do szkoły i przez resztę lekcji czytaliśmy książkę.

Opowieść o przybyszach z planety Folia

Czy widzieliście kiedyś, jak wiatr niesie torebkę foliową? Wygląda to trochę tak, jakby niewidzialne powietrzne stwory grały sobie w koszykówkę. To w jedną stronę podrzuci – to w inną zawieje. Lecąca torebka tańczy na tle nieba, zahacza o gałęzie drzew, oplata druty wysokiego napięcia... Przyglądamy się temu, czasem ktoś nawet uzna, że to ładnie wygląda – ot, szarawy obłoczek unosi się w powietrzu.

O, my biedni! Zupełnie nie zdajemy sobie sprawy, że takich torebek latają w powietrzu każdego dnia tysiące! Albo dziesiątki tysięcy! I nie, absolutnie nie rozpływają się w powietrzu jak prawdziwe obłoki, tylko mkną coraz wyżej i wyżej, aż opuszczą naszą Galaktykę i dotrą do sporej planety, która jeszcze nie ma nazwy, my jednak możemy nazywać ją Folią. Na potrzeby tej historii.

Folia ma to do siebie, że bardzo szybko rośnie. Nic dziwnego – tworzą ją zbite w kłąb torebki foliowe. Takie jak ta jedna jedyna, którą wiatr wywiał z kosza na śmieci. Czy taki wątły kawałek plastiku jest w stanie zbudować całą planetę? No jasne! Każdego roku ludzie wypuszczają w świat do biliona sztuk torebek i duża ich część leci sobie spokojnie w kosmos. Wiecie, ile to jest bilion? To milion milionów – jedynka i dwanaście zer. Sporo, prawda?

Torebki foliowe robimy od pięćdziesięciu lat – choć nie od razu produkowaliśmy ich aż tyle. I żadna z tych torebek nie zniknęła z Ziemi ot

tak. Nie mogła, bo chociaż jedna torebka powstaje w sekundę, to rozkłada się przez pięćset lat. A to znaczy, że wszystkie torebki, które kiedykolwiek wytworzono, wciąż istnieją. Zalegają na wysypiskach, na dnie mórz i oceanów, skąd trafiają do rybich i ptasich brzuchów, a część zostaje uprowadzona przez podmuch wiatru i leci w stronę planety zwanej Folią.

Na początku Folia była bardzo malutka – wyglądała jak plastikowa piłeczka zawieszona w przestrzeni. Jednak z biegiem czasu i z napływem kolejnych torebek zaczęła rosnąć. Najpierw była wielka jak balon do latania. Potem – jak dziesięć balonów. Aż wreszcie zrobiła się ogromna jak Księżyc (który, o czym może nie wiecie, ma średnicę tylko cztery razy krótszą niż Ziemia).

Kiedy Folia była już tak wielka, że gdybyśmy codziennie szli dziesięć kilometrów, to musielibyśmy poświęcić trzy lata na obejście planety dookoła, pojawiła się na niej pierwsza żywa istota. A potem – tysiące kolejnych. Jak to się stało, nie pytajcie. Nie wiemy nawet, dlaczego i w jaki dokładnie sposób my pojawiliśmy się na Ziemi, więc i o Folii nie możemy wiedzieć więcej. Tak czy inaczej Folia zaczęła tętnić życiem.

Jej mieszkańcy zbudowali wioski, miasteczka i miasta, dróżki i drogi, domki i pałace. A że ciągle się mnożyli i zaczęło im się robić ciasno, postanowili wyruszyć na podbój jakiejś nowej planety. Król Folii (tak, tak, planetą rządził król w pięknej plastikowej koronie) wybrał spośród tłumu chętnych dwóch śmiałków o wdzięcznych imionach Pet i Pecefał. Dał im do dyspozycji statek kosmiczny i działo strzelające kolorowymi kulkami. Z plastiku, ma się rozumieć. Pet i Pecefał przemierzyli pół kosmosu, a gdy dotarli do przytulnego zakątka zwanego Układem Słonecznym, poczuli, że są blisko celu swojej podróży. Szczególnie spodobała im się niewielka błękitna planeta o wdzięcznej nazwie Ziemia. Brzmi znajomo? Tak, tak, nie mylicie się! To właśnie naszą starą poczciwą Ziemię dwóch przybyszów z Folii wzięło na celownik.

– Tu nam będzie jak w domu! – oświadczył zachwycony Pet, a Pecefał zgodził się z nim całkowicie.

Gdy jednak statek z Folii miał wylądować na środku wielkiego placu w największym mieście, okazało się, że przybysze nie są mile widziani. Nagle dookoła pojawili się uzbrojeni po zęby żołnierze, którzy wymierzyli w naszych kosmitów karabiny maszynowe. Cóż było robić! Pet i Pecefał wyciągnęli swoje działo i odpowiedzieli Ziemianom pięknym za nadobne. Czyli – kolorowymi kulkami z plastiku. W krótkim czasie wszystkie kraje, miasta, miasteczka i wioski wypełniły się kolorowymi kulkami, a biedni Ziemianie ze strachu zamknęli się w domach i lamentowali:

– I co teraz z nami będzie? Jak sobie poradzimy z takim zalewem plastiku?!

Prawdopodobnie wszystko bardzo źle by się skończyło, gdyby nie Lawinia Lawenda, ogromnie pomysłowa osóbka. Lawinia wyjrzała bowiem przez okno i zobaczyła całe to kolorowe nieszczęście.

– Wiem, co trzeba zrobić! – zawołała do brodzących w kulkach przerażonych przechodniów. – Musimy szybko włączyć największe i najmocniejsze

odkurzacze! Odciągniemy kulki, a potem wrzucimy je do niszczarki i przerobimy na malutkie kuleczki. A te kuleczki wsypiemy do poduszek albo zrobimy z nich wypełnienie kurtek zimowych. Albo ocieplimy nimi domy...

I tak też się stało. Ludzie rzucili się do odkurzaczy i zaczęli przetwarzać plastikowe kulki na pożyteczne kuleczki. Przy okazji niechcący przerobili na nie statek kosmiczny, którym przylecieli Pet i Pecefał. Biedacy! Zostali uwięzieni na planecie Ziemia. Na szczęście zaprzyjaźnili się z Lawinią Lawendą, która pozwoliła im zamieszkać w chatce ogrodnika tuż za swoim domem. Pomagali jej pielić ogródek i uprawiać marchewki, za którymi – jak się okazało – przepadali.

A co było dalej? Lawinia zaczęła wpadać na kolejne świetne pomysły i przerabiać na różne potrzebne rzeczy jednorazowe torby i butelki, i nakrętki. Żeby planeta Folia nie urosła jeszcze bardziej.

Z pamiętnika Marcela

25 marca: Przez parę dni mieliśmy skrócone lekcje: chodziliśmy nad Rudkę i odławialiśmy torebki foliowe pozostałe z naszej marzanny. Pani Szczypiorek sama przyznała, że pomysł, aby zrobić kukłę z plastikowych śmieci, byłby może dobry, gdybyśmy nie wrzucili jej do wody. Postanowiliśmy, że w przyszłym roku zrobimy bardziej ekologiczną marzannę: ze słomy.

28 marca: Burmistrzyni Pietruszkowej Woli, czyli nasza mama, powiedziała, że odławianie śmieci z rzeczki to znacznie lepsza zabawa niż topienie marzanny. A potem ogłosiła konkurs na najlepsze wykorzystanie zużytego plastiku. Nagroda była nie byle jaka: dwadzieścia słoików konfitur wiśniowych usmażonych przez naszego tatę (bo tata jest najlepszym kucharzem pod słońcem!) i kolorowe torby na zakupy uszyte przez mamę. Żeby już nie używać foliowych. W jury zasiadła pani Szczypiorek wraz z panem od WF-u, Maksymilianem Nóżką.

Propozycji było bardzo dużo. Na przykład pani Eugenia Kurzydło zrobiła wiszący ogród – czyli plantację bazylii w doniczkach z butelek po oranżadzie. Pan Czesław natomiast zbudował komplet mebli ogrodowych z wiaderek po farbie. Jurorom jednak najbardziej spodobał się naszyjnik

z plastikowych kwiatów wyciętych z butelek po wodzie mineralnej. I kiedy już mieli przyznać pierwsze miejsce, okazało się, że naszyjnik zrobiła… nasza mama.

„Zlitujcie się, przecież nie mogę wygrać konfitur własnego męża!" – jęknęła mama, więc, koniec końców, nagrodę zdobył pan Czesio. Z czego bardzo się ucieszył, bo uwielbia konfitury wiśniowe. A torby dał w prezencie pani Eugenii, która obchodzi w marcu imieniny.

30 marca: Chociaż z marzanną nam nie wyszło, wiosna i tak się zjawiła w Pietruszkowej Woli. Pani Szczypiorek powiedziała, że będziemy raz na tydzień, w ramach godziny wychowawczej, sprzątać jakiś kawałek świata. Dziś wybraliśmy się do lasu. O rety, ile tam śmieci! Przytachaliśmy kilka worków, a potem wszystko elegancko posegregowaliśmy. Ale to nie wszystko. W lesie znaleźliśmy także pieska ze złamaną łapką. Przyniosłem go do domu. Rodzice próbowali protestować, ale w końcu ulegli i teraz mamy drugiego psa. Nazwaliśmy go Kluska, bo od razu, mimo chorej łapki, wlazł na stół i zjadł miskę makaronu do zupy. Poza tym jest psią dziewczyną, więc to imię mu pasuje.

Z niezbędnika ekologa

Unikaj torebek ze sztucznego tworzywa

Co najbardziej zaśmieca nasz świat? Plastik! Jego duża część pochodzi z na pozór niewinnych torebek, w które pakujemy zakupy. Każdego roku tylko w Polsce wyrzucamy kilkadziesiąt tysięcy ton torebek foliowych. Z kolei dziesięć milionów ton plastiku trafia rok w rok do mórz i oceanów, zagrażając życiu ptaków, ryb i ssaków. Dlatego lepsze dla środowiska są wielorazowe torby na zakupy z tkaniny. Ale jeśli już zapomnicie materiałowej torby z domu, proście w sklepie o papierową!

Jak uszyć torbę na zakupy:

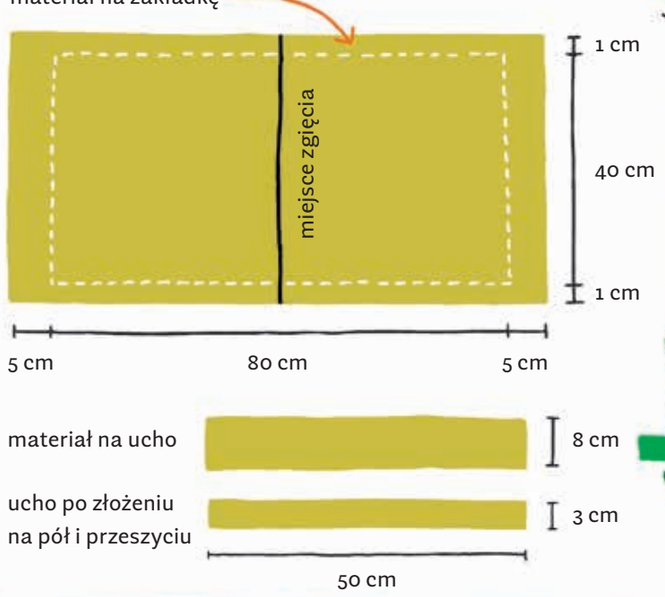

Plastik plastikowi nierówny

Każdy pojemnik z tworzyw sztucznych – potocznie nazywanych plastikiem – musi mieć oznaczenie, które mówi, z jakiego surowca go wykonano. Bo plastiki mogą być bardziej i mniej szkodliwe. Powinniśmy zatem ograniczać szczególnie ten plastik, który nie nadaje się do ponownego użycia i jest niebezpieczny dla naszego zdrowia.

1 PET/PETE

Tworzy się z niego na przykład butelki plastikowe, sztućce jednorazowe i odzież polarową. Opakowań PET nie wolno używać wielokrotnie. Za to na ogół dobrze poddają się one recyklingowi.

2 HDPE

To bezpieczny dla naszego zdrowia plastik, w którym można przechowywać żywność. Nadaje się do recyklingu.

3 PVC (inaczej nazywany PCW lub, mniej poprawnie, PCV)

To plastik, który jest bardzo szkodliwy dla zdrowia, więc stosuje się go jedynie w produktach niezwiązanych z żywnością, jak rury czy wykładziny.

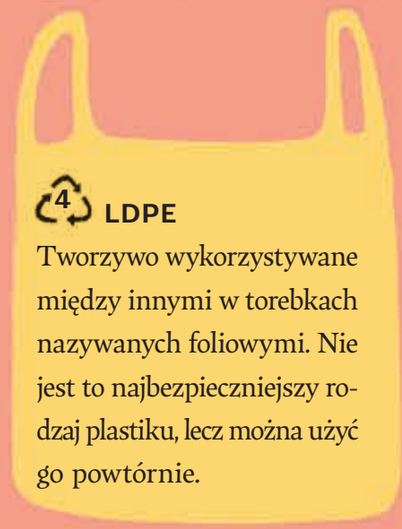

4 LDPE

Tworzywo wykorzystywane między innymi w torebkach nazywanych foliowymi. Nie jest to najbezpieczniejszy rodzaj plastiku, lecz można użyć go powtórnie.

5 PP

To jeden z najbezpieczniejszych rodzajów plastiku, stosowany na przykład w opakowaniach jogurtów i serków. Jest bardzo wytrzymały i odporny na podgrzewanie.

7 INNE/OTHER

Zwykle mają bardzo niekorzystny wpływ na nasze zdrowie. Opakowań z nich wykonanych pod żadnym pozorem nie powinno się używać powtórnie.

6 PS

Wydziela toksyny, zwłaszcza pod wpływem ciepła. Jest stosowany między innymi w pojemnikach z jedzeniem na wynos, czyli najczęściej go spotykamy pod postacią styropianu.

Nie trzeba wyrzucać, można wykorzystać!

Część plastików, a także innych niepotrzebnych surowców, można odzyskiwać i wykorzystywać powtórnie. Robi się to na coraz większą skalę. Na przykład zrecyklingowany plastik z butelek PET służy do wyrobu tapicerki w niektórych samochodach albo do wytwarzania polaru. Plastikowe torebki po przetworzeniu stają się ociepleniem w kurtkach zimowych, a włókna ze zużytych swetrów bywają używane do wygłuszania głośników. To tylko kilka przykładów. My, we własnym zakresie, też możemy dawać drugie życie zużytym plastikowym przedmiotom.

rozdział 3.

UWAŻAJ, CO KUPUJESZ

Z pamiętnika Matyldy

7 kwietnia: Tym, co zdecydowanie doskwiera mi w Pietruszkowej Woli, jest brak galerii handlowych. Lubiłam chodzić z mamą na duże zakupy – zawsze wtedy udawało mi się ją namówić na coś nowego. Mama twierdzi, że sama wcale za tym nie tęskni, bo taka wizyta w galerii zawsze źle się kończy. Wiem, o co jej chodzi... Doskonale pamiętam, jak wybrałyśmy się do centrum handlowego po kapcie, a wyszłyśmy z kurtką zimową (bo była przecena), plecakiem (bo stary był troszeczkę poplamiony) i dwiema parami kaloszy. Wcześniej nie miałyśmy pojęcia, że nam to wszystko potrzebne...

9 kwietnia: Jednak strasznie mi się zachciało dżinsowej kurtki i mama powiedziała, że możemy się wybrać do Taniego Armaniego. To taki sklep z używaną odzieżą, który prowadzi siostra naszej ulubionej sąsiadki, pani Heni. Pani Halinka (ta siostra) odkłada dla naszej mamy co ładniejsze ciuszki i mama twierdzi, że nigdy nie miała tylu luksusowych ubrań. Dlatego postanowiła znaleźć coś w Tanim Armanim także dla mnie.

12 kwietnia: Udało się! Kurtka jest! I to jaka! Z wyhaftowanym czerwonym wężem na plecach! Ten wąż to dzieło pani Halinki, która ma czarodziejskie palce. Pani Halinka przerobiła też sukienkę, którą mama kupiła w Tanim Armanim, a przy okazji opowiedziała nam niesamowitą historię...

Niesamowita historia Samii i Dżamii

Samija i Dżamija, dwie siostry mieszkające w jednym z niewielkich azjatyckich krajów, bardzo lubiły grać w piłkę. Dawno temu nauczył je tego tata i od tamtej pory uważały tę zabawę za najprzyjemniejszą na świecie. Choć oczywiście ich życie nie upływało wyłącznie na zabawie. Obie pomagały mamie gotować pyszny pilaw – ulubioną potrawę taty dziewczynek składającą się z ryżu, marchewki, groszku, cebuli i masła. Kilka razy w tygodniu chodziły do szkoły, chociaż gdyby ktoś wam powiedział, jak wygląda ich nauka, tobyście nie uwierzyli. Siedziały na ziemi, w kucki, w klasie, gdzie nie było niczego poza tablicą. Ale one i tak bardzo lubiły te chwile, kiedy uczyły się matematyki albo powtarzały angielskie słówka. *I... am, you... are...* Niekiedy nie mogły dotrzeć na lekcje, bo z rodzicami zbierały ryż na polu albo zawoziły warzywa na targ. Ale to nie zdarzało się bardzo często. Tak, wiodły naprawdę dobre i radosne życie. Do czasu. Bo pewnego dnia zdarzyło się nieszczęście. Rodzice wracali o zmroku z targu i na zakręcie ich stary rozklekotany samochód wpadł w poślizg...

Samija i Dżamija zostały same. Na początku jakoś sobie radziły – w domu było trochę zapasów. Jednak po paru tygodniach głód zaczął zaglądać im w oczy. I wtedy w ich okolicy zjawił się pewien człowiek, który szukał nowych pracowników do fabryki ubrań.

– Będziecie mieć własne pieniądze, dostaniecie obiad – zachęcał.

Dziewczynki uznały, że to dobry pomysł, i następnego dnia stawiły się w fabryce.

– Tylko żebyście się nie leniły! Leniuchów tu nie chcemy! – powiedział mężczyzna, który przyjął je do pracy.

Samija i Dżamija obiecały, że będą się bardzo starać. I tak było. Starały się ze wszystkich sił. Cóż, kiedy właśnie tych sił brakowało, żeby nadążyć z pracą. Zadaniem dziewczynek było nabijanie guzików do dżinsowych kurtek. Bardzo pięknych kurtek, sprzedawanych za sumę, której Samija i Dżamija nie mogłyby zarobić nawet w rok. O ile w ogóle udawało im się coś zarobić, bo właściciel fabryki skwapliwie odliczał od ich wynagrodzenia każdą minutę odpoczynku, każdą miseczkę ryżu... Pracujących pilnowali strażnicy, którzy głośno krzyczeli, jeśli ktoś próbował zatrzymać się na chwilę i odpocząć. Czasem – wiem, to naprawdę okropne, ale muszę wam o tym powiedzieć – czasem strażnik nie chciał wypuścić robotników na siusiu. A kiedy chłopiec o imieniu Mamun – bo dziewczynki nie były jedynymi dziećmi pracującymi w fabryce ubrań – no więc gdy Mamun zaczął się buntować i powiedział, że nie będzie dłużej nabijał guzików, że woli umrzeć z głodu, strażnik uderzył go tak mocno, że zrobił mu siniaka na policzku.

Dlatego pewnego dnia dzieciaki postanowiły uciec. Nie było to takie proste. Odkąd pracowały w fabryce, nie wracały do domu, tylko nocowały w wielkiej hali na cienkich słomianych matach. Strażnicy zaganiali tam malców, a potem zamykali drzwi na wielki zamek. Od czego jednak spryt i sprawne paluszki! Mamunowi udało się ukraść klucz strażnikowi, gdy ten się zagapił. Mężczyzna przypuszczał, że klucz po prostu urwał mu się od paska. Wieczorem użył zapasowego, nie przypuszczając, że oryginał siedzi sobie spokojnie w kieszeni chłopca. Gdy zapadła noc i wszyscy poszli spać, a strażnicy udali się na odpoczynek do swoich domów, Samija, Dżamija i Mamun, podobnie jak inne dzieci, wymknęli się z fabryki.

Biegli jakąś godzinę, a może dwie, aż zrozumieli, że są w środku ciemnego lasu i nie wiedzą, dokąd iść. I właśnie wtedy zobaczyli światełko migoczące w gęstwinie. Krzycząc wniebogłosy: „Ratunku! Ratunku!", rzucili się w stronę niewielkiego domku. Dżamija zastukała do drzwi, które wkrótce się otworzyły, i... co za straszny zbieg okoliczności! Okazało się, że w domku w lesie mieszka strażnik, któremu Mamun ukradł klucz.

Nietrudno zgadnąć, co nastąpiło potem. Dzieci wróciły do fabryki. Za karę zmniejszono im porcję ryżu o połowę i dołożono dwa razy więcej pracy...

– Chyba tu już umrzemy z głodu i ze zmęczenia! – jęczała Samija, a Mamun pochlipywał cichutko, mocując kolejne guziki w dżinsowej kurtce.

I wtedy Dżamija wpadła na genialny pomysł.

– Wiem, co zrobimy! – wyszeptała. – Wezwiemy cały świat na pomoc!

– Co? Niby w jaki sposób? – prychnęła jej siostra.

– Napiszemy list i schowamy go w kurtce. A najlepiej kilka takich listów. Opiszemy, jak potwornie nas tu traktują, że nas więżą, głodzą i zmuszają do pracy ponad siły. Te kurtki są sprzedawane w Europie i w Ameryce. Na pewno ktoś zechce nam pomóc!

– Chyba zwariowałaś! Przecież przy pierwszej kontroli znajdą ten list, a wtedy znowu zostaniemy ukarani!

– Nie znajdą. Jeśli go dobrze ukryjemy.

– A gdzie właściwie chcesz go ukryć? – dopytywał Mamun.

– A czego nikt nigdy nie sprawdza? – Dżamija uśmiechnęła się chytrze.

– No... bo ja wiem... – Chłopiec nie był pewien. Samija też nie miała pojęcia, o co chodzi siostrze.

– Nikt nigdy nie czyta metek! Napiszemy list na metce...

I tak się właśnie stało. Kurtki zostały spakowane, załadowane na statek, a potem popłynęły do Europy i Ameryki. To były naprawdę piękne i drogie ubrania. Sprzedawano je w galeriach handlowych i w małych eleganckich butikach, w których zresztą osiągały cenę dwa razy wyższą niż w wielkich sklepach.

W takim właśnie butiku jedną z kurtek kupiła Bella Primavera, sławna amerykańska piosenkarka. A ponieważ lubiła być oryginalna, włożyła pod tę kurtkę króciutką bluzeczkę. Metka, którą wszyto z boku, pod rękawem, okropnie drapała, więc Bella postanowiła ją odciąć. A jak ją już odcięła, zobaczyła maleńkie literki: „Zmuszają nas do pracy i źle traktują. Nie możemy tego wytrzymać. Uratuj nas!". I jeszcze podpis: „Samija, Dżamija i Mamun".

Gdyby tę wiadomość znalazł kto inny, pewnie nie ustaliłby łatwo, skąd pochodzą kurtka i list. Ale Bella Primavera miała cały sztab bardzo zdolnych sekretarek, które zaraz się tym zajęły. Dlatego już parę dni później artystka wsiadła do swojego prywatnego samolotu i poleciała do niewielkiego kraju daleko w Azji. Oświadczyła, że chce zwiedzić fabrykę, a dyrektor, który oczywiście słyszał o słynnej piosenkarce, nie śmiał odmówić. Wtedy Bella powiedziała, że chce zobaczyć, gdzie są szyte jej ulubione ubrania, więc, chcąc nie chcąc, dyrektor zaprowadził ją

do szwalni. Bella stanęła na środku sali i zapytała, wskazując swoją kurtkę:

– Kto z was napisał do mnie list? Czy są tu Samija, Dżamija i Mamun?

Wszystko, co wydarzyło się potem, było piękne jak w bajce. Bella Primavera postanowiła zadbać o to, żeby Samija, Dżamija i Mamun wrócili do szkoły. Ufundowała dla nich specjalne stypendium. Jak pamiętacie, w tej fabryce pracowało wiele innych dzieci. Bella Primavera nie mogła pomóc im wszystkim, ale opowiedziała światu o tym, co zobaczyła.

– Kupujecie ubrania, za które bardzo dużo płacicie. Czy jednak wiecie, skąd one się biorą? I przede wszystkim – kto je szyje? Na wasz kaprys ciężko pracują małe dzieci! – tak powiedziała Bella w programie telewizyjnym, który obejrzało kilka milionów ludzi. I jakaś część telewidzów zaczęła się zastanawiać nad tym, skąd pochodzą kupowane przez nich ubrania. I postanowiła szukać takich, które są produkowane w uczciwy sposób.

A wiecie, co jest najlepsze? Ze Samija i Dżamija, które dzięki stypendium Belli skończyły studia prawnicze, same zaczęły walczyć o prawa dzieci.

Z pamiętnika Marcela

17 kwietnia: Kwiecień naprawdę przeplata lato z zimą. Wczoraj postawił na to drugie. Tata musiał włożyć kalesony do pracy. Ale dziś znowu było lato i o kalesonach nikt nawet nie myślał. Cóż z tego jednak, skoro zostały w spodniach, a tata, ubierając się bardzo wcześnie rano, w ogóle tego nie zauważył. W ten sposób wystające z nogawek kalesony wlokły się za nim przez cały dzień. Wszyscy to widzieli, ale nikt nie ośmielił się zwrócić tacie uwagi. Zrobiła to dopiero mama, gdy tata wrócił wieczorem do domu.

18 kwietnia: Historia z kalesonami nabrała rozpędu. Przez cały dzień deptania zrobiły się czarne i trochę się podarły. Mama chciała je wyrzucić, ale tata powiedział, że w tym roku zamierza niczego nie marnować. A wtedy burmistrzyni, czyli nasza mama, rozpisała nowy konkurs dla mieszkańców Pietruszkowej Woli: na najciekawsze wykorzystanie starych kalesonów. Tym razem nagrodą były dwa bilety do kina. Pomysły nadeszły najróżniejsze: żeby z postrzępionych kalesonów zrobić krótkie galoty, żeby je przerobić na ściereczki do kurzu, żeby uszczelnić nimi psią budę... Nagrodę wygrała jednak pani Halinka, która zaproponowała, żeby pokroić materiał w paseczki i wypchać nimi królika uszytego ze starego sfilcowanego swetra. I to był znakomity pomysł, bo akurat wtedy tata wrzucił przez przypadek mój wełniany sweter do pralki.

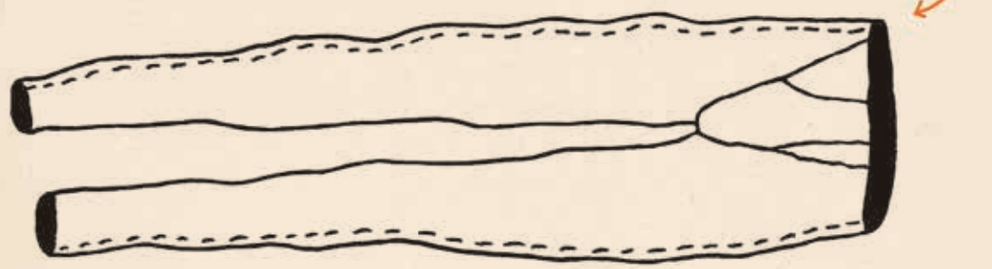

Z niezbędnika ekologa

Spodnie globtroterzy

Jednej sztuki odzieży wcale nie produkuje się od początku do końca w jednym kraju. Szwajcarskie dżinsy mogą być na przykład zrobione z bawełny zebranej w Burkina Faso, Kazachstanie albo Indiach. Stamtąd wędruje ona do Chin, gdzie bawełnianą „watkę" przędzie się na nici. Te nici są farbowane na Filipinach barwnikami przysłanymi z Niemiec lub ze Szwajcarii. Z Filipin granatowe nici lecą – dajmy na to – do Polski, a tu tka się z nich dżins. Gotowy materiał leci z powrotem na Filipiny, razem z guzikami z Włoch i metkami z Francji. Na Filipinach wszystko to jest starannie zszywane. A potem spodnie lecą do szwajcarskich sklepów. Co się natomiast dzieje ze znoszonymi dżinsami? Różnie z tym bywa. Niektórzy (niestety nadal nieliczni) producenci próbują dbać o to, by ich stare ubrania były przetwarzane na inne produkty, takie jak szmatki i ściereczki do sprzątania. I to jest świetne rozwiązanie!

Właściwie dlaczego jedne spodnie produkuje się w kilku miejscach na świecie? To proste! Producent wybiera kraj, w którym określony rodzaj pracy jest najtańszy. Tylko że niska cena często oznacza pracę ludzi w złych warunkach i za bardzo niską pensję. My, konsumenci, powinniśmy interesować się tym, w jakich warunkach szyte są nasze ubrania. I wybierać te marki, które dbają o swoich pracowników.

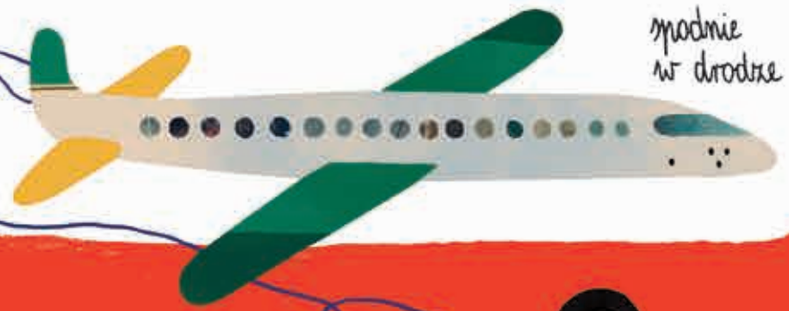

Po czym poznać, że ubrania są produkowane w sposób społecznie odpowiedzialny

Wiele ubrań ma na metkach i etykietach specjalne oznaczenia – certyfikaty dające kupującemu pewność, że odzież była szyta z poszanowaniem praw pracowników i środowiska naturalnego. Oto niektóre z nich:

Fair Wear Foundation

Tego certyfikatu używają firmy, które zobowiązały się dobrze traktować swoich pracowników i uczciwie im płacić.

Fairtrade

Używający tego znaku producenci odzieży dbają o swoich pracowników i zapewniają im opiekę zdrowotną. Nie używają też środków chemicznych szkodliwych dla środowiska.

EU Ecolabel

Certyfikat ten zapewnia, że ilość substancji niebezpiecznych dla ludzi i środowiska została w określonym produkcie (nie tylko ubraniu) ograniczona do minimum, a sam proces produkcji jest przyjazny dla natury.

Global Organic Textile Standard

Oznaczenie to gwarantuje, że ubranie powstało z surowców nieszkodliwych dla środowiska, a podczas procesu produkcji nie łamano praw pracowników.

rozdział 4.

DAWNA HISTORIA MIEJSCA

GDZIE PRZED NAMI

Z pamiętnika Marcela

1 maja: Pierwszy dzień długiego weekendu za nami… Koszmar! Tata postanowił skorzystać z paru wolnych dni i wyremontować strych. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że zatrudnił mnie do pomocy. Bez prawa odmowy! Cały dzień znosiłem po schodach różne stare rupiecie. Butelki, garnki, ubrania poprzednich właścicieli… Zrobiła się z tego niezła góra. Chyba będziemy musieli zamówić kontener.

2 maja: Wczoraj wieczorem wpadłem na pomysł, jak zniechęcić tatę do remontu. Wszystko dzięki filmikowi w internecie. Pewien komik przebrał swojego psa za pająka. Doczepił mu dodatkowe czarne łapy i tak wypuścił go na ulicę. Ludzie kwiczeli ze strachu! Postanowiłem jego pomysł powtórzyć. Na strychu znalazłem worek ze starymi rajstopami – pojęcia nie mam, dlaczego poprzedni właściciele je trzymali. No więc wypchałem rajstopy szmatami i watą, aż zrobiły się z tego eleganckie łapy. Doczepiłem je Klusce i Urwisowi, a potem wystarczyło już tylko zawołać rodziców… Liczyłem na to, że jeśli wystraszą się pająków gigantów, porzucą myśl o remoncie. Niestety nie poszło wcale tak gładko. Wypuściłem moje pająki ze strychu, a one wpadły prosto do salonu, gdzie, zamiast rodziców, stała sobie pani Henia z półmiskiem pełnym pierogów. Na widok Kluski i Urwisa wystraszyła się tak okropnie, że aż upuściła talerz na podłogę. Wszystko się rozbiło, a psy natychmiast rzuciły się na pierogi i je pożarły. Potem mama powiedziała, że przebieranie psa za pająka niekoniecznie musi podobać się psu. I chciała się dowiedzieć, czy pies z internetu, Kluska i Urwis zostały zapytane o zdanie…

3 maja: Przeprosiłem Kluskę i Urwisa, przez cały dzień sprzątałem strych, a potem pomagałem pani Heni – żeby wynagrodzić sąsiadce rozbity półmisek. Bardzo jej było przykro, bo to była pamiątka rodzinna. Pani Henia trochę się jednak udobruchała, kiedy obiecałem zrobić lampę z jej ulubionej butelki – jeszcze starszej niż talerz. Nauczyłem się tego w szkole na kółku technicznym. Wystarczy wsadzić do szyjki butelki obsadkę na żarówkę z podłączonym kabelkiem. A pani Henia odwzajemniła mi się opowieścią…

Opowieść o butelce

Jeśli dobrze się zastanowić, to w każdej rzeczy drzemią drobinki setek albo tysięcy innych rzeczy. Wszystko jest we wszystkim. Weźmy chociażby butelkę, którą Marcel, sąsiad pani Heni, pomógł jej przerobić na lampę... A było to tak.

Butelkę wykonano w hucie szkła siedemdziesiąt, może nawet osiemdziesiąt lat temu. Ale to wcale nie był początek jej drogi, skądże znowu! Bo czy zastanawialiście się kiedyś, z czego jest zrobiona butelka? Już słyszę chichot: „No jak to – z czego! Ze szkła przecież!".

Macie rację. Tylko z czego robi się szkło? Ano szkło robi się z piasku. A z czego robi się piasek? No jasne, nie robi się go z niczego. Piasek po prostu jest. A skąd się wziął? Żeby to wytłumaczyć, trzeba by wrócić do czasów, gdy Ziemia dopiero się kształtowała. Na samym początku – cztery i pół miliarda lat temu – nasza planeta była rozżarzoną kulą. Potrzebowała setek milionów lat, żeby wystygnąć i stwardnieć! Kiedy stwardniała całkiem, pokrywała ją gruba skorupa, która w ciągu kolejnych milionów lat pękała i rozpadała się na skalne okruchy. Te okruchy najpierw były spore, potem robiły się coraz mniejsze i mniejsze, aż wreszcie stały się ziarenkami piasku. A piasek, rozgrzany do bardzo wysokiej temperatury, roztapia się i staje szkłem. Między innymi takim, z którego zrobiona jest butelka pani Heni.

Szkła oczywiście nie wymyślono od razu – pierwsze pojawiło się ponad trzy tysiące lat przed Chrystusem albo przed naszą erą (jak kto woli). A niektórzy twierdzą, że jest jeszcze starsze! Butelki otrzymywano z początku tak, że do płóciennego woreczka wsypywano piasek, a potem

zanurzano go w gorącym płynnym szkle. Szkło oblepiało worek, a gdy wystygło – wysypywano piasek i usuwano resztki tkaniny. Taka dosyć nieforemna butelka służyła jako naczynie na wodę, na wino, na mleko – na co kto chciał. I była bardzo cenna. Potem zaczęto szkło dmuchać i nadawać mu pożądany kształt specjalnymi szczypcami, co wyglądało trochę tak, jakby ktoś puszczał bańki mydlane. A dopiero w XIX wieku zaczęto odlewać szklane butelki w formach – i tak robi się do dzisiaj.

Szklanej butelki można używać bardzo wiele razy – właściwie bez końca, dopóki się nie potłucze. Pani Henia ma taką piękną brązową butlę o niespotykanym kształcie, która jest jej rówieśniczką. Na naczyniu

przetrwała do naszych czasów oryginalna nalepka z napisami: „Magister" i „Jakob Haberfeld". Tak nazywały się napitek i jego producent. Butelkę (razem z zawartością) tata pani Heni dostał od swojego szwagra z okazji narodzin córki. Czyli właśnie sąsiadki Marcela! Trudno sobie to wyobrazić, ale nawet ona była kiedyś różowiutkim, okrąglutkim bobasem. Nic dziwnego, że tata postanowił zaprosić kolegów i uraczyć ich napitkiem oraz plackami ziemniaczanymi i sękaczem. Nie ma lepszego powodu do świętowania w gronie przyjaciół niż narodziny dziecka, każdy to przyzna. Tata pani Heni nie wyrzucił pustej butelki, tylko trzymał w niej różne inne napoje. A to sok malinowy na zimę, a to sok z kwiatu czarnego bzu. Kiedy mała Henia poszła do szkoły, mama nalewała jej do tej butelki mleka – żeby miała czym popić drugie śniadanie.

– Nie potłucz – mówiła – żebyś się nie pokaleczyła!

Henia bardzo uważała. Tylko raz, kiedy szła po oblodzonym mostku, upadła i butelka odrobinę się wyszczerbiła. Od tego momentu dziewczynka nie nosiła jej już do szkoły.

– Ostry brzeg mógłby ci przeciąć wargę – zawyrokowała mama, która była bardzo troskliwa i nie chciała, żeby córeczce stało się coś złego.

Wówczas butelka zaczęła służyć jako wazon na bazie, jeśli była wiosna, na peonie, gdy było bliżej lata, albo na dalie, jeżeli akurat kończył się sierpień.

– Całe moje życie w tej jednej butelce! – Pani Henia uśmiechnęła się do swojego odbicia w szybie i do swoich wspomnień. Przeciągnęła palcem po spłowiałej naklejce. A potem powtórzyła ten gest jeszcze dwa razy.

I wtedy stało się coś dziwnego. Z butelki wypłynął obłoczek. Z początku był niewielki, lecz z sekundy na sekundę rósł i stawał się coraz bardziej okazały. Aż wreszcie wypełnił sobą połowę kuchni pani Heni.

– A to co? – zdziwiła się starsza pani.

– Nie co, tylko kto! – odpowiedział obłoczek, który tymczasem przybrał kształt podobny do wysokiego człowieka.

– No dobrze. A to kto? – poprawiła się pani Henia.

– Jestem duchem tej butelki – przedstawił się duch. – Obudziłaś mnie z głębokiego snu. W nagrodę możesz spełnić moje trzy życzenia!

– Ja?! A czy nie jest aby tak, że jeśli się wypuści ducha z butelki, to właśnie on spełnia życzenia?

– Nie wiem, jak jest w innych bajkach – odparł z uśmiechem duch (a w każdym razie pani Henia ten uśmiech zobaczyła). – Ale w tej jest na odwrót.

– W takim razie czego sobie życzysz, drogi duchu?

– Pierwsze moje życzenie jest takie, żebyś wreszcie porządnie wymyła butelkę. Drugie – żebyś przestała wtykać mi do środka łodygi. Kłują!

Staruszka posmutniała. Lubiła butelkę jako wazon, jednak posłusznie wykonała polecenie.

– Dobrze ci idzie! – powiedział zadowolony duch. – Czas na trzecie życzenie. Chcę, żebyś zrobiła z butelki lampę! Dosyć mam siedzenia w ciemności. Potrzebuję światła!

I dlatego pani Henia zrobiła lampę ze starej butelki. Ale nie sama. Poprosiła o pomoc swojego sąsiada Marcela.

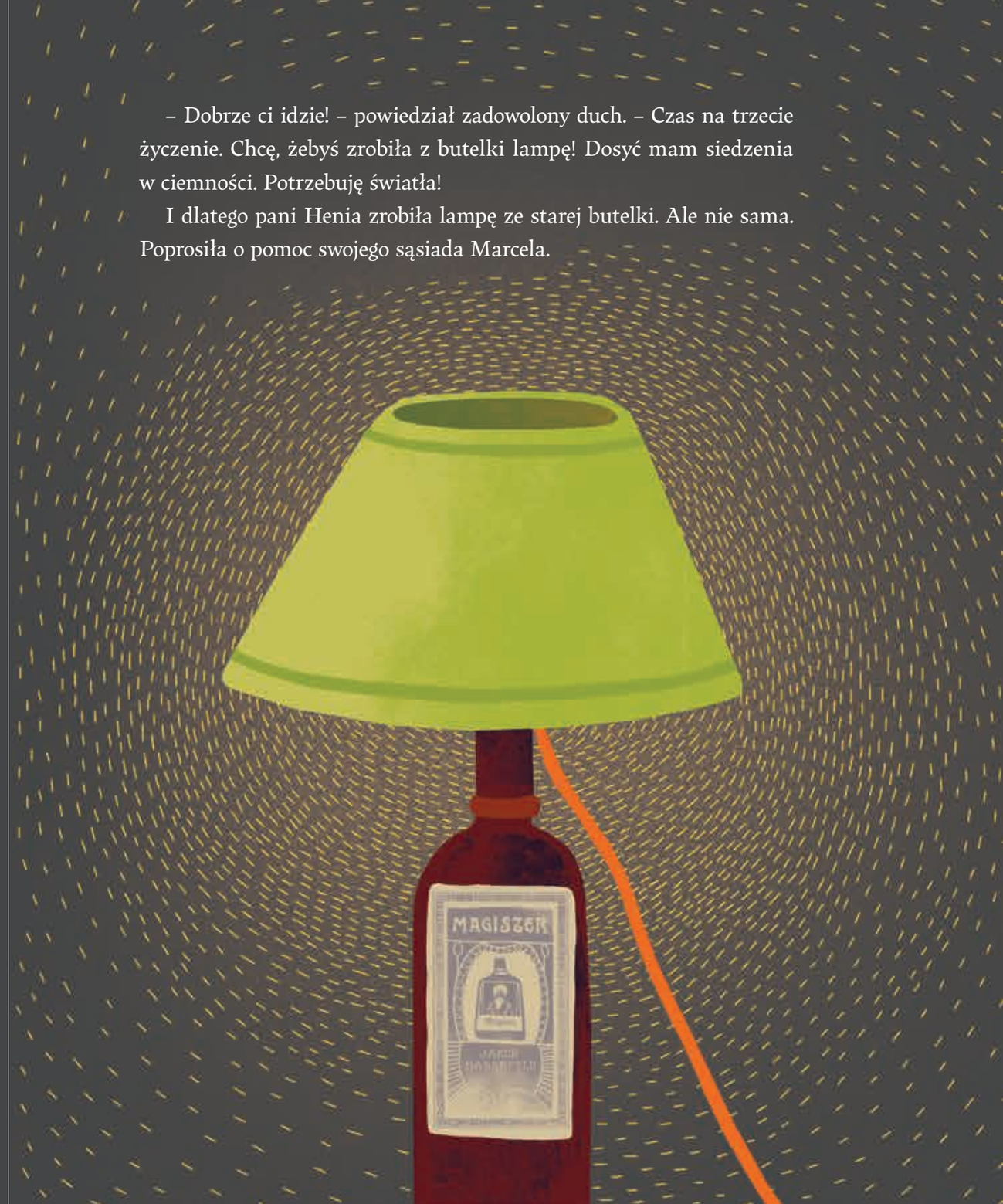

Z pamiętnika Matyldy

3 czerwca: Dzięki tacie i Marcelowi mamy teraz fantastyczny pusty strych. Jest taki ogromny, że można po nim jeździć na rolkach! Oczywiście tylko teoretycznie, bo rodzice chcą tu urządzić pokoje gościnne. Pytanie tylko, co począć z górą rzeczy ze strychu...

10 czerwca: Ze starych garnków i cebrzyków mama zrobiła piękne osłonki na doniczki. Pani Henia wyjaśniła jej, do czego służyły ubrania i materiały zebrane w workach na strychu. Otóż poprzednia właścicielka domu splatała chodniczki z niepotrzebnych tkanin. Takie długie i wesołe, w kolorowe paski. Dzięki temu nic się nie marnowało.

26 czerwca: Przyjechały dziś do mnie koleżanki z poprzedniej klasy. Przez cały dzień pani Henia uczyła nas robić dywaniki ze szmatek. Każda dziewczynka zabrała do domu swój własny chodniczek. Koleżanki obiecały, że wrócą do Pietruszkowej Woli latem, na kawałek wakacji. A ja jestem bardzo zadowolona, bo powiedziały, że nigdy wcześniej tak dobrze się nie bawiły.

mój chodniczek

Z niezbędnika ekologa

Na ratunek Matce Ziemi

Jeśli nie chcemy, aby nasza planeta zginęła pod warstwą śmieci, musimy przestać je produkować. Czas również na rozsądniejsze podejście do przedmiotów, którymi się otaczamy. Mały domowy recykling, czyli dawanie zużytym rzeczom nowego życia, może być świetną zabawą!

Co możecie zrobić ze starej szklanej butelki

1. Pomalujcie ją farbkami do szkła i podarujcie mamie na Dzień Matki razem z czerwoną różą!
2. Pomalujcie ją srebrnym sprejem i wsadźcie do środka świecę – będzie pięknym lichtarzem.
3. Zróbcie z niej oryginalną ramkę do zdjęć: zwińcie w rulon fotografię i wsuńcie do butelki – w środku sama się rozwinie. Wsypcie też do butelki trochę koralików i małych muszelek.
4. Stwórzcie własny instrument muzyczny. Zgromadźcie osiem identycznych butelek. Napełnijcie wszystkie wodą, tak aby w pierwszej było najmniej płynu, a w ostatniej – najwięcej. Zawieście je na sznurku na drewnianej ramie. A potem delikatnie uderzajcie w butelki patyczkiem. Każda będzie wydawać inny dźwięk!
5. Jeżeli naprawdę nie macie pomysłu na drugie życie butelki, zanieście ją do kontenera ze szkłem. Dzięki temu, że prawidłowo segregujemy śmieci, nie trafiają one na wysypiska (albo, co gorsza, do oceanów), tylko są przerabiane na nowe przedmioty.

Jak prawidłowo segregować śmieci

Wiele cennych surowców można odzyskać dzięki prawidłowemu segregowaniu śmieci. Po prostu trzeba wiedzieć, co do którego pojemnika (a wcześniej worka w kuchni) wrzucić.

Do pojemnika na papier należy wrzucać:

☛ gazety, czasopisma, zeszyty, książki, papiery szkolne i biurowe ☛ opakowania z papieru, na przykład karton czy tekturę ☛ papierowe torebki i worki ☛ zapisane albo zadrukowane kartki ☛ ulotki, katalogi

Do pojemnika na papier NIE NALEŻY wrzucać:

☛ kartonu po mleku, sokach czy innych napojach ☛ ręczników papierowych oraz zużytych chusteczek higienicznych ☛ zatłuszczonych i bardzo brudnych papierów ☛ papieru lakierowanego ☛ brudnych i tłustych opakowań jednorazowych z papieru oraz naczyń jednorazowych ☛ tapet ☛ papierowych worków po nawozach, cemencie lub innych materiałach budowlanych ☛ materiałów higienicznych, w tym pieluch jednorazowych

Do pojemnika na metale i tworzywa sztuczne należy wrzucać:

☛ aluminiowe puszki po napojach i sokach ☛ nakrętki (chyba że zbieramy je na cele dobroczynne) ☛ puszki po konserwach ☛ opróżnione plastikowe opakowania po produktach spożywczych ☛ folię aluminiową ☛ kapsle, zakrętki od słoików ☛ metale kolorowe ☛ odkręcone i zgniecione plastikowe butelki po napojach ☛ opakowania po środkach czystości i kosmetykach ☛ plastikowe torby zakupowe i foliowe jednorazówki ☛ kartony po sokach czy mleku

Do pojemnika na metale i tworzywa sztuczne NIE NALEŻY wrzucać:

☛ opakowań po olejach silnikowych ☛ części samochodowych ☛ zużytego sprzętu elektronicznego i AGD ☛ zużytych baterii i akumulatorów ☛ butelek i pojemników z zawartością ☛ puszek i pojemników po farbach i lakierach ☛ opakowań po lekach, artykułów medycznych

Do pojemnika na szkło należy wrzucać:

☛ butelki i słoiki po napojach i żywności oraz po alkoholu czy olejach ☛ szklane opakowania po kosmetykach (wyjątkiem są opakowania wykonane z trwale połączonych różnych rodzajów materiałów)

Do pojemnika na szkło NIE NALEŻY wrzucać:

☛ ceramiki, doniczek, porcelany, fajansu, kryształów ☛ szkła okularowego ☛ szkła żaroodpornego ☛ zniczy razem z woskiem ☛ reflektorów ☛ żarówek i świetlówek ☛ termometrów i strzykawek ☛ luster ☛ szyb okiennych i zbrojonych ☛ monitorów i lamp telewizyjnych ☛ opakowań po lekach, rozpuszczalnikach czy olejach silnikowych

Do **pojemnika na odpady biodegradowalne** wrzucamy wyłącznie resztki pochodzenia roślinnego (a nie zwierzęcego), a do **pojemnika z odpadami zmieszanymi** to wszystko, czego nie można odzyskać w procesie recyklingu (z pominięciem odpadów niebezpiecznych, które muszą trafić do PSZOK-u, czyli Punktu Selektywnego Zbierania Odpadów Komunalnych).

rozdział 5.

AGDY TAK SIĘ PODZIELIĆ?

Z pamiętnika Matyldy

14 lipca: Jedziemy na wakacje – to już postanowione. Niby w naszej Pietruszkowej Woli codziennie jest jak na wakacjach, tylko że problem stanowi to „codziennie"! Człowiek lubi sobie od czasu do czasu coś zmienić. Jak mieszka w górach, ciągnie go nad morze, jeśli mieszka nad morzem, pojechałby w góry. I tak dalej. Rodzice siedzą teraz i się troszkę martwią, bo nie mają w tym roku pieniędzy na żaden hotel czy pensjonat.

15 lipca: Problem rozwiązany! Do mamy zadzwoniła jej przyjaciółka szkolna Melania. Okazało się, że ma ten sam problem, co my: chętnie wyjechałaby na wakacje, a jest bez pieniędzy. No więc mama wpadła na genialny pomysł. Żebyśmy się z rodziną Melanii zamienili na mieszkania! My damy im na dwa tygodnie nasz dom w Pietruszkowej Woli, a oni nam – swoją chatkę w Beskidach.

17 lipca: Jutro wyjeżdżamy. Klucze przekazaliśmy przez panią Henię. Ona nie lubi wyjeżdżać, i bardzo dobrze, bo dzięki temu powie pani Meli, jak karmić nasze psy. W moim pokoju ma zamieszkać córka przyjaciółki mamy – zostawiłam dla niej garść miętówek pod poduszką. Na powitanie, żeby było jej przyjemnie. Chociaż myślę, że będzie – nasz dom jest bardzo serdeczny i lubi gości. Uważam, że niektóre domy czy przedmioty mają charakter, tak jak ludzie. I potrafią okazywać życzliwość. Gdyby tylko umiały mówić, jestem pewna, że miałyby wiele do powiedzenia.

Opowieść żółtego namiotu

Zaczęło się od tego, że rodzice Krzysia Grzegżółki postanowili kupić mu namiot na obóz wędrowny. Oglądali godzinami różne modele, szukali najlepszej ceny, aż wreszcie znaleźli egzemplarz, który odpowiadał im w stu procentach.

A byłem nim ja.

Najpierw rozłożyli mnie w ogrodzie. No, powiedzmy. Tata Krzysia postanowił rozciągnąć moją podłogę, ładując się do środka, tylko nie zauważył, że niechcący wywlókł mnie na lewą stronę.

– Co robisz, człowieku?! – próbowałem go ostrzec, ale on, ma się rozumieć, niczego nie usłyszał. Jakbym mówił do głuchego...

Kiedy już zdołał wczołgać się do środka, zaczął się turlać i wiercić, aż wreszcie zaplątał się na całego.

– Halo! – zawołał w końcu zdesperowany. – Halo, jest tu kto?!

Niestety byłem tylko ja – a zatem, z punktu widzenia taty Krzysia, nie było nikogo, bo mama oraz sam Krzyś poszli do domu na truskawki.

Minęło naprawdę sporo czasu, nim tata wyplątał się z moich linek, a potem rozłożył mnie jak należy. Mama wsunęła się do środka, za nią Krzyś. Wszyscy troje leżeli potem pod moim dachem i opowiadali sobie straszne bajki. To było nawet przyjemne.

Następnego dnia Krzyś pojechał na obóz, zabierając mnie ze sobą, ma się rozumieć! Podzielił się mną z Marcelem, który nie miał własnego namiotu. Muszę powiedzieć, że byli to mili lokatorzy – aczkolwiek ich skarpetki nie pachniały zbyt upojnie. Dlatego pewnego dnia, gdy

miałem już dosyć tego braku higieny, po prostu dyskretnie kichnąłem i wyrzuciłem skarpety na zewnątrz.

Z całego obozu najmniej podobała mi się biała noc, bo koledzy Krzysia i Marcela wypaćkali pastą do zębów obu chłopaków, a przy okazji także mnie. Nie wiem jak wy, ludzie, ale ja nie przepadam za paćkaniem. Bardziej ucierpiał jednak zielony namiot rozbity tuż obok. Jego mieszkanki, czyli Matylda i jej przyjaciółka Ania, rozlały na podłogę sok pomarańczowy, który przyciągnął mrówki. Nie wiem jak wy, ludzie, ale namioty szczerze nie znoszą, kiedy mrówki włażą im do środka.

Gdy tylko wróciliśmy z obozu, zaraz zostałem wysłany na wyjazd kempingowy za granicę, bo rodzice Tomka pożyczyli mnie swoim przyjaciołom z Grudziądza. No więc gniotłem się przez trzy dni w bagażniku, żeby w końcu dotrzeć nad Morze Śródziemne. Było warto – tyle wam powiem. Wylądowałem na polu namiotowym niedaleko plaży. Co wieczór mogłem podziwiać księżyc, który odbijał się w granatowej tafli wody. I słuchać, jak państwo Paciorkowie – moi nowi lokatorzy – cieszą się sobą i światem.

– Cóż za cudowne miejsce wybrałeś, mój drogi – mówiła pani Paciorkowa.

– Bo szukam dla ciebie wszystkiego, co najlepsze – odpowiadał pan Paciorek.

Czekałem, aż powiedzą coś o mnie – że na przykład nigdy nie spali w tak wygodnym namiocie. Niestety nie doczekałem się. No trudno, nikt nie jest doskonały.

Po powrocie do Polski zostałem przekazany pewnej małej dziewczynce, która nie mogła wyjechać na wakacje, więc rozbiła namiot w ogrodzie za domem i całymi dniami czytała książki.

– Chodź na obiad, Moniczko! – wołała jej mama, ale Moniczka udawała, że nie słyszy.

– Co tam obiad – mruczała – kiedy akurat Harry Potter walczy z Lordem Voldemortem!

Chciałem, żeby poczytała trochę na głos, w końcu namiot też ma ochotę posłuchać ciekawej historii, ale Monika nie domyśliła się, o co mi chodzi. Raz tylko oderwała się od lektury i powiedziała:

– A ty co tak szeleścisz, namiociku?

I zaraz później wróciła do przygód młodych czarodziejów.

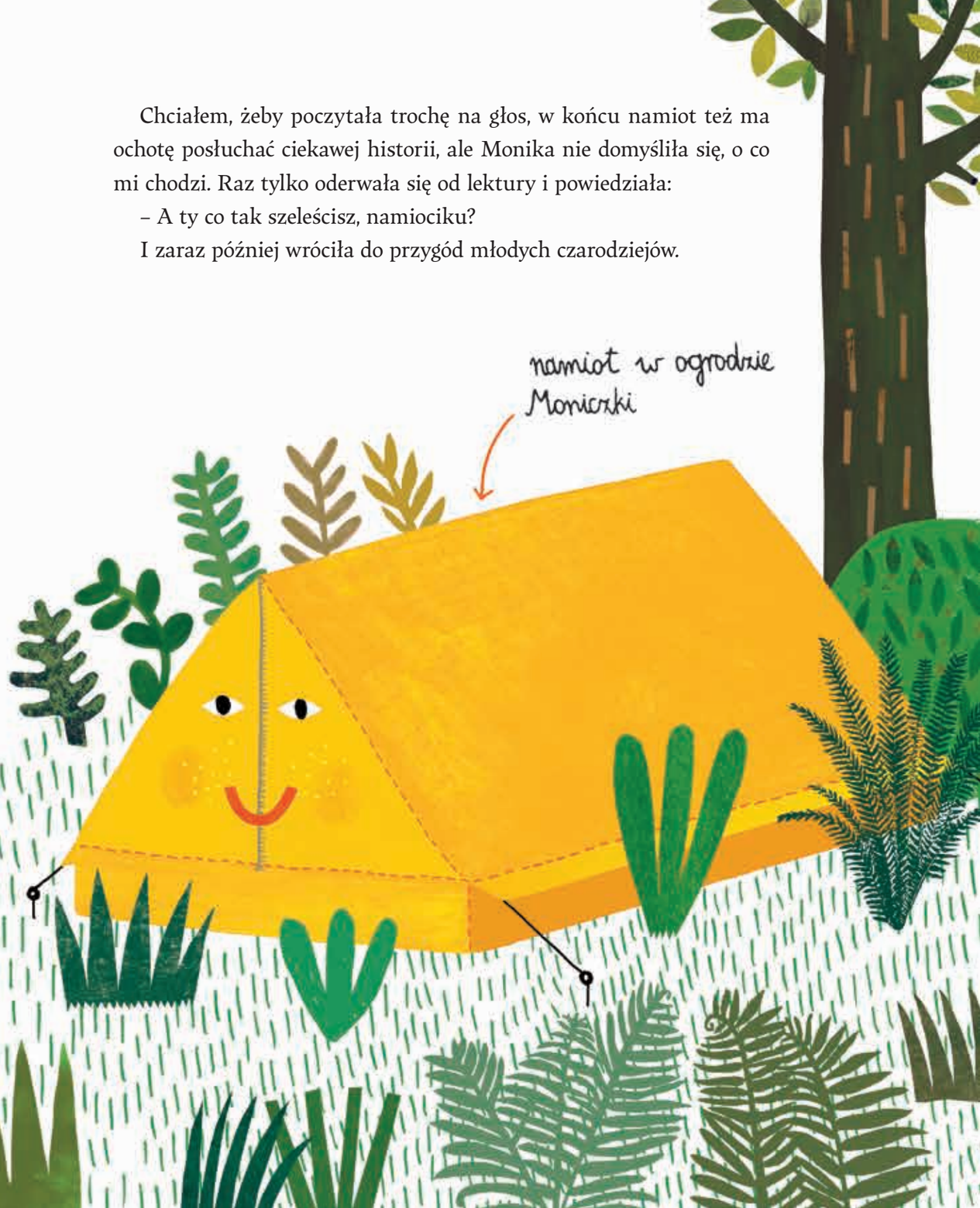

Gdy Moniczka oddała namiot Krzysiowi, on pożyczył go swojemu wujkowi. Wujek, którego akurat rzuciła dziewczyna, postanowił się wybrać na samotną wędrówkę w Bieszczady.

– Żeby wychodzić smutek – powiedział.

Szedł sobie, szedł, a ja razem z nim. Wieczorem mnie rozkładał, a ja osłaniałem go przed deszczem, który lał prawie co noc. Niby my, namioty, jesteśmy po to stworzone, żeby chronić ludzi przed wiatrem i deszczem, ale wyznam wam szczerze: wolimy, gdy nie pada. W Bieszczady, jak mówiłem, ruszyliśmy we dwoje, a wróciliśmy we czworo. Wujek Krzysia poznał na szlaku panią Elizę i prawie od razu zaczął wędrować razem z nią. A potem oboje znaleźli kulawego psa, którego postanowili zabrać do weterynarza. Weterynarz opatrzył psu łapę i kazał zgłosić się na kontrolę za tydzień. I było tak, że pies spał w namiocie, a pani Eliza z wujkiem Krzysia całymi nocami siedzieli przy ognisku. Rozmawiali, śpiewali piosenki i chyba byli zadowoleni, bo zupełnie nie zwracali uwagi na to, czy pada, czy nie.

Końcówkę lata spędziłem na Warmii. Bo tam na zieloną szkołę pojechał brat cioteczny Krzysia. Śmiesznie się nazywał ten brat – Świętopełk, choć wszyscy mówili na niego Świętek. I on wreszcie potraktował mnie jak należy. Czytał książkę na głos, to po pierwsze. Po drugie: była to książka podróżnicza, czyli taka, jakie lubię najbardziej. Poza tym Świętek chwalił mnie i mówił, że jestem wygodny, i że w życiu nie spał w takim świetnym namiocie. Całe lato chciałem to usłyszeć! Na koniec wyjazdu w dodatku wyczyścił mnie starannie i wytrzepał z piasku. Wygonił też ostatnią mrówkę, która zaplątała się między linkami.

Leżę sobie teraz spokojnie na strychu Krzysia i czekam na kolejną wycieczkę. Zdaje się, że mam być wypożyczony komuś jeszcze, nim nadejdzie zima.

Jest mi dobrze. Po tylu wyprawach jestem namiotem z naprawdę bogatym wnętrzem!

Z pamiętnika Marcela

2 sierpnia: Wczoraj wróciliśmy z gór. Mieszkaliśmy u przyjaciółki mamy, pani Melanii. Pogoda nie zachwycała, ale graliśmy w gry planszowe i było naprawdę fajnie. Poza tym wybraliśmy się na kilka fantastycznych wycieczek, no i zdobyliśmy dwa wysokie szczyty. Przed wyjazdem tata upiekł ciasteczka i zostawił na stole jako podziękowanie za gościnę. Zabawne, bo kiedy wróciliśmy do domu, również zastaliśmy na stole ciasteczka, tylko inne.

4 sierpnia: Przyszło mi do głowy, że niektórymi zabawkami mogę się wymieniać z kolegami – bo dzięki temu każdy z nas będzie miał tak jakby więcej. Natychmiast wprowadziłem ten pomysł w życie. Pożyczyłem hulajnogę Krzysiowi, który mieszka naprzeciwko, a on pożyczył mi swoje szczudła. I co się okazało? Że szczudła to najfajniejsza zabawka, jaką w życiu miałem! Okazało się też, że na szczudłach doskonale chodzi pani Henia, chociaż jest już starszą panią. Trzeba było widzieć, jak pomyka na nich do sklepu. Wszystkie dzieciaki ją podziwiały!

6 sierpnia: Tata postanowił zrobić dwie pary takich szczudeł i wystawić przy płocie przed domem. Żeby każdy mieszkaniec Pietruszkowej Woli mógł je sobie pożyczać!

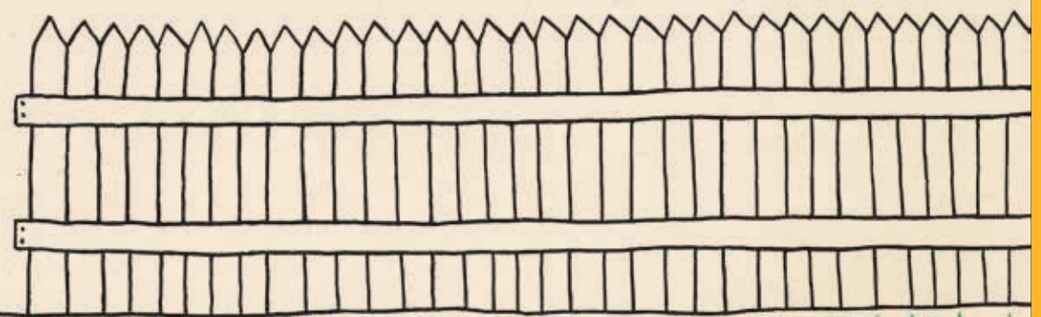

Z niezbędnika ekologa

Nie musimy mieć wszystkiego na własność

Każdego dnia reklamy podpowiadają nam, co by jeszcze kupić. Współczesny człowiek ma znacznie więcej, niż zgromadzili jego dziadkowie czy nawet rodzice. Często są to przedmioty, które wymagają od nas, byśmy je pielęgnowali, dbali o nie, kupowali do nich części zamienne, czyścili... To wszystko kosztuje i zabiera czas. Dlatego – skoro kupiliśmy już jakiś przedmiot – pożyczajmy go innym! Albo wymieńmy go na coś, jeśli uważamy, że przestał nam być potrzebny. Możemy wymieniać się zabawkami, ubraniami, książkami – właściwie wszystkim.

Czasem kilka osób umawia się, że będzie mieć jakąś rzecz na spółkę. Samochód, wiertarkę, przyczepę kempingową... Wspólnie można też na przykład wynająć lokal, w którym jedna osoba będzie prowadzić kawiarnię, a druga – majsterkować. Dzięki temu bywalcy lokalu napiją się kawy, a przy okazji naprawią zepsuty budzik.

Dobre praktyki współdzielenia

- Jadłodzielnie to miejsca, w których można oddać niepotrzebne jedzenie. Takie, którego mamy za dużo.
- O bibliotekach – wypożyczalniach książek – na pewno wiecie. A o bibliotekach ubrań? Można z nich wypożyczyć fajny ciuch, ponosić, wyprać, wyprasować i oddać!
- Z wypożyczalni choinek bierze się drzewka w doniczkach, a po świętach oddaje, żeby choinka mogła sobie rosnąć dalej.
- System wypożyczania rowerów miejskich i hulajnóg pozwala korzystać z nich wszystkim mieszkańcom.

rozdział 6.

I TY MOŻESZ URATOWAĆ ORANGUTANA. ALBO KONIA.

Z pamiętnika Matyldy

15 września: Jesteśmy z wycieczką klasową w Zakopanem. Dziś wybraliśmy się do Morskiego Oka. Miała być wielka atrakcja: przejażdżka bryczką zaprzęgniętą w konie. Ale wyszła z tego bardzo przykra historia. Okazało się, że koń, który wiózł nas do schroniska, zupełnie nie miał na to siły. Woźnica, widząc, jak biedak człapie i co chwila się zatrzymuje, wyraźnie był zły. W pewnej chwili złapał bat i chyba by go użył, gdyby nie to, że pani Szczypiorek okropnie się zdenerwowała. Zabrała woźnicy bat, kazała mu się zatrzymać, a nam wysiadać.

„Nie pozwolę, żeby zwierzę cierpiało dla naszej przyjemności! – powiedziała. – Wszyscy mamy zdrowe nogi i na nich dojdziemy!".

16 września: Sprawa konia poruszyła nas bardzo. Zastanawialiśmy się, co zrobić.

„Może go wykupimy?" – zaproponował Krzyś i opowiedział, jak to jego tata odkupił psa od człowieka, który trzymał go na łańcuchu.

Tylko co my z tym koniem zrobimy? Przecież nie pojedziemy z nim pociągiem do Pietruszkowej Woli?

17 września: Jutro wracamy do domu. Wszystkim jest bardzo, bardzo przykro. Dziś znowu widzieliśmy naszego konia, jak ciągnął wózek pełen turystów. Zastanawialiśmy się, czy zgłosić na policję, że zwierzę jest źle traktowane.

„Może najpierw moglibyśmy powiedzieć właścicielowi, żeby go traktował lepiej? Wystarczyłoby, żeby zabierał połowę ludzi, a koniowi będzie znacznie lżej – powiedziała pani Szczypiorek. – A może napisać w tej sprawie list do burmistrza?".

„To nic nie da! – mruknął Marcel. – Jeśli tego gościa nie obchodzi, że koń cierpi, to przecież nie zacznie mu współczuć, gdy go o to poprosimy!".

Pani Szczypiorek odparła, że nie zawsze tak musi być. I na dowód opowiedziała nam pewną historię.

Historia o małpim czarodzieju

Obudził ją świst. Coś przeleciało obok jej ucha tak blisko, że aż poczuła pęd powietrza. Podniosła się w gnieździe zbudowanym wysoko na drzewie i powiodła wokół sennym spojrzeniem.

– Mamo... – wyszeptała Mała Pongo. – Mamo, śpisz?

Bonogo leżała na boku i w ogóle się nie ruszała. Córeczka pochyliła się nad nią i nagle zamarła. Opanował ją straszliwy lęk, że mamie coś się stało. Może lepiej było nie wiedzieć...

Przerażona odwróciła się i zacisnęła oczy, próbując znowu zasnąć. Wtedy jednak usłyszała cichutki jęk. Czyli jednak! Pongo podskoczyła z radości i przypadła do ciała matki.

– Córeczko... skaleczyli mnie w ramię – jęczała wielka orangutanica.

No tak, teraz Pongo widziała wyraźnie. Na ramieniu matki widniał krwawy ślad, a obok niej – niewielka kałuża krwi.

– Nie ruszaj się, mamusiu! Pobiegnę po Wielkiego Bu – szepnęła Pongo, zbiegła po drzewie i zeskoczyła w kępę krzaków.

Wielkiego Bu, lekarza i czarodzieja, zwykle można było znaleźć na drzewie nieopodal. Małpka biegła śmiało – w końcu znała las jak własną kieszeń. Najpierw do miejsca, gdzie rosły dzikie jagody, potem w prawo, aż do królestwa złotych much. I jeszcze kilka susów.

Ale co to? Pongo gwałtownie się zatrzymała. Coś było nie tak! Ktoś zabrał wszystkie drzewa! Zniknęły, pozostały po nich jedynie żałosne pieńki. Ani śladu jagód, ani śladu złotych much. Co gorsza, nie było też Wielkiego Bu.

– Co tu się dzieje?! – wykrzyknęła przestraszona.

– To wszystko sprawka ludzi – usłyszała za sobą cichy głos.

Odwróciła się. Na jednym z pieńków siedziała, kiwając się na boki, stara orangutanica.

– Wycinają drzewa. My, orangutany, nie mamy już gdzie żyć. Nie mamy też co jeść, bo całe nasze pożywienie znajduje się w lesie. Czeka nas powolna śmierć głodowa. Chyba że wcześniej zostaniemy zastrzelone. Wtedy umrzemy szybko.

– Moja mama została ranna! – wykrzyknęła z rozpaczą Pongo.

– Sama widzisz. Źle się dzieje, a będzie jeszcze gorzej.

– Muszę znaleźć Wielkiego Bu! – Małpka złapała się za głowę. – On umie wyleczyć mamę.

– Spróbuj poszukać go tam! – poradziła jej staruszka, wskazując niewielki zagajnik.

Pongo miała szczęście. Wielki Bu – ogromny i bardzo silny orangutan – siedział na gałęzi i z niepokojem obserwował horyzont.

– Wielki Bu! – zawołała do niego Pongo. – Moja mama została ranna!

– Strzelali do niej, tak? – upewnił się, marszcząc brwi.

– Chyba tak. Nie widziałam! Słyszałam tylko świst kuli, a potem się okazało, że mamę bardzo boli ręka.

– Ale żyje? – zapytał Bu.

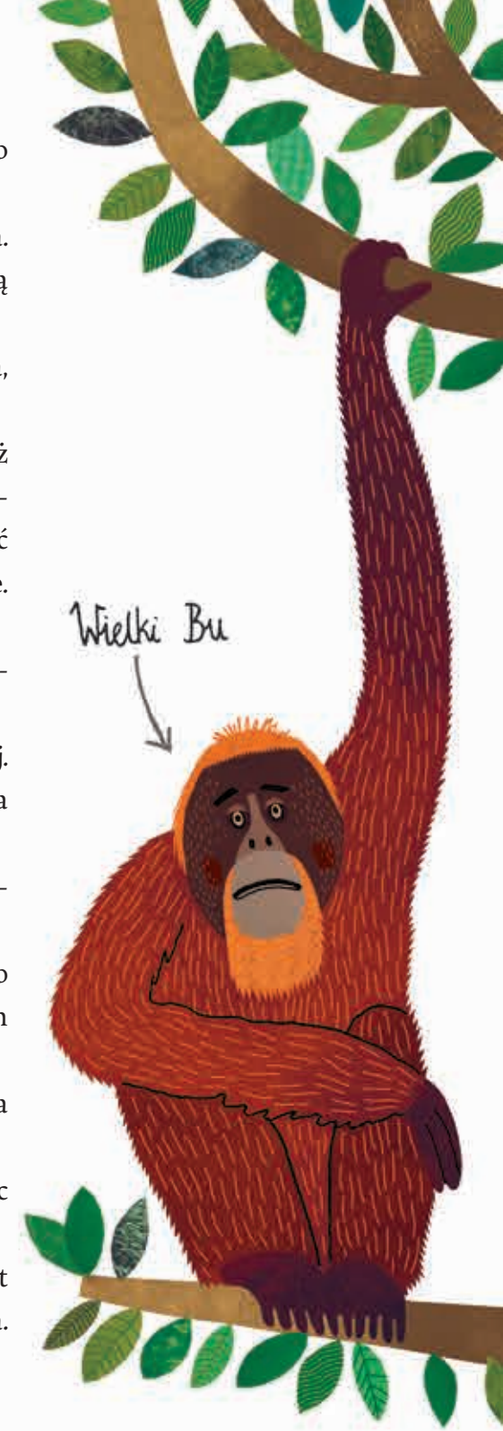

– Tak, żyje! Mama nie może umrzeć!

– Moja maleńka Pongo... przyszły straszne czasy. Ludzie wycinają drzewa i strzelają do zwierząt – a wszystko po to, żeby w miejscu po naszym lesie założyć plantację palm olejowych. Czyli olejowców.

– Po co im tyle palm? – zdziwiła się małpka.

– Tłoczą z nich olej. A potem robią z niego tysiące rzeczy. Słodycze, kosmetyki, nawet paliwo. Są chciwi, chcą dużo zarabiać. Dlatego muszą robić dużo oleju. Cóż, kiedy na świecie nadal nie rośnie tyle palm, żeby nasycić chciwość człowieka. Więc wycinają lasy, w których żyjemy, i sadzą olejowce. A my... nas czeka śmierć głodowa. Albo od kuli. Giniemy, tak samo jak inne zwierzęta. Tygrysy, ptaki, owady...

– Jak oni mogą? Przecież my cierpimy! – jęknęła Pongo.

– Człowiek ma serce z kamienia, cudze cierpienia go nie obchodzą, chodzi mu tylko o pieniądze. Lepiej zajmijmy się twoją mamą...

Pobiegli więc razem w stronę drzewa, na którym znajdowało się gniazdo Bonogo. Obecność Wielkiego Bu dodawała Pongo otuchy. W końcu stary orangutan był nie tylko doskonałym małpim lekarzem, ale też trochę czarodziejem. Nic złego nie mogło się wydarzyć.

A jednak gdy dotarli na miejsce, małe serduszko Pongo znowu ścisnęło się z trwogi. Mamy nigdzie nie było!

– Co się stało? Gdzie ona się podziała?!

Wielki Bu wciągnął mocno powietrze, a potem popatrzył na ziemię wokół drzewa. Gdzieniegdzie widać było maleńkie kropelki krwi.

– Ktoś ją musiał wypłoszyć... czuję w powietrzu zapach strachu. A jeśli czuję strach, to znaczy, że musi tu być także człowiek.

Nie pomylił się mądry małpi lekarz. Przeszli ledwie parę kroków, kiedy ją zobaczyli.

Bonogo kuliła się, wyczerpana i przerażona, patrząc na celującego do niej z karabinu mężczyznę.

Zanim Wielki Bu zdołał ją powstrzymać, Pongo przypadła do swojej mamy.

– Nie! – zaczęła krzyczeć. – Nie rób jej krzywdy! Kocham ją!

Człowiek oczywiście nie rozumiał słów wypowiadanych przez orangutaniątko. I pewnie wszystko źle by się skończyło, gdyby nie Wielki Bu. Był w końcu najmądrzejszym małpim czarodziejem. Niewiele myśląc, zerwał suchą trawkę i dmuchnął przez nią w stronę myśliwego. Tajemnicze zaklęcie pofrunęło prosto do ucha człowieka. A z ucha – do umysłu i do serca. I nagle mężczyzna zaczął widzieć inaczej. W oczach Pongo zobaczył oczy swojej córeczki. Wylękniona Bonogo przywiodła mu na myśl jego własną mamę, która też się kiedyś bardzo bała. O niego – bo jako mały chłopiec spadł z murka i rozbił sobie głowę. Mama wykrzywiała wtedy twarz w przestrachu tak samo jak ta orangutanica.

Mężczyzna opuścił broń. Nagle zrobiło mu się potwornie wstyd.

„Jak mogłem krzywdzić te niewinne, czujące stworzenia...".

Człowiek spuścił głowę, a potem odwrócił się na pięcie i wrócił tam, skąd przyszedł. Wielki Bu mógł wreszcie się zająć zranionym ramieniem Bonogo. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Na razie.

Ale to nie był koniec tej historii.

Zaklęcie wielkiego małpiego czarodzieja dalej pracowało w sercu człowieka, który postanowił poświęcić resztę życia na ratowanie i lasów, i zwierząt. Zaczął od tego, że zadał sobie pytanie, czy naprawdę potrzebuje tych wszystkich słodyczy i kosmetyków, przez które giną orangutany. Nie, nie zdołał ocalić ich wszystkich. Ale może wam się to uda?

Z pamiętnika Marcela

22 września: Przed wyjazdem z Zakopanego w końcu zawiadomiliśmy policję. Policjanci obiecali zająć się sprawą, ale ja i tak nie mogę przestać myśleć o koniu. Kiedy dorosnę, spróbuję zmienić prawo, żeby lepiej chroniło zwierzęta.

Tymczasem kończy się lato, czyli nadchodzą urodziny moje i Matyldy. Mama i tata pozwolili nam urządzić przyjęcie na strychu. Robimy wędkę szczęścia. To taka zabawa dla gości – z nagrodami. Rodzice obiecali, że kupią trochę słodyczy, a my do każdego cukierka albo batonika przyczepimy oczko z drucika. Goście będą sobie łowić na wędkę łakocie. Ja i Matylda postanowiliśmy jednak, że nie będziemy kupować słodkości, w których jest olej palmowy. Bo to przez niego giną orangutany i tygrysy. To żadna zabawa, jeśli dla naszej przyjemności ktoś na drugim końcu świata cierpi.

24 września: Wczoraj ja i Matylda wyprawiliśmy przyjęcie. Udało się wspaniale i wszyscy bardzo je chwalili. Tylko ja byłem trochę smutny, bo tata musiał nagle wyjechać. Wprawdzie zapowiedział, że wróci z niespodzianką, ale jakoś mnie to nie pocieszyło...

25 września: Dziś rano wrócił tata. Z niespodzianką. Wielką. Bardzo wielką! Bo tatuś, jak się okazało, pojechał do Zakopanego po konia! Konikiem zajmie się teraz schronisko dla zwierząt gospodarskich, które niedawno zostało otwarte niedaleko Pietruszkowej Woli. A my będziemy go odwiedzać i pomagać w jego utrzymaniu. Ogromnie się cieszę!

Z niezbędnika ekologa

Jak ratować zagrożone orangutany...

...a także inne zwierzęta, które cierpią z powodu wycinania lasów pod plantacje olejowców gwinejskich. No właśnie – jak? Przede wszystkim czytajcie składy słodyczy i kosmetyków. Jeśli wśród składników znajdziecie olej palmowy, zrezygnujcie z tej rzeczy lub sprawdźcie na opakowaniu, czy pochodzi ona ze zrównoważonej produkcji. A zrównoważona produkcja to taka, podczas której dba się o środowisko naturalne, o zwierzęta i rośliny (inne niż tylko olejowce).

Jeśli producent waszych ulubionych ciastek używa oleju palmowego bez stosownego certyfikatu, namówcie rodziców, żeby do niego napisać i wyrazić troskę o los zwierząt. Jeden list go pewnie nie przekona. Ale jeśli będzie ich dużo, może zrezygnuje z oleju palmowego. Jeżeli nie, wy zawsze możecie zrezygnować z ciastek.

jeden z certyfikatów zrównoważonego rolnictwa

owoce olejowca gwinejskiego

olejowiec gwinejski

Organizacje pomagające zwierzętom

Jeśli chcesz się dowiedzieć, jak pomagać potrzebującym zwierzętom, wejdź na stronę jednej z fundacji działających na ich rzecz. Oto organizacje i ośrodki ratujące koty, psy, konie, zwierzęta gospodarskie, dziką przyrodę... Tu wymieniamy tylko niektóre – jest ich dużo więcej!

- www.otwarteklatki.pl • **Otwarte Klatki**
- www.klubgaja.pl • **Klub Gaja**
- www.greenpeace.org/poland/ • **Greenpeace Polska**
- www.otoz.pl • **Ogólnopolskie Towarzystwo Ochrony Zwierząt OTOZ Animals**
- www.koteria.org.pl • **Koteria**
- www.otop.org.pl • **Ogólnopolskie Towarzystwo Ochrony Ptaków**
- www.kroliki.net • **Stowarzyszenie Pomocy Królikom**
- www.swinkimorskie.eu • **Stowarzyszenie Pomocy Świnkom Morskim**
- www.wwf.pl • **WWF Polska**
- www.viva.org.pl • **Fundacja Międzynarodowy Ruch na rzecz Zwierząt – Viva!**
- www.empatia.pl • **Stowarzyszenie Empatia**
- www.pegasus.org.pl • **Fundacja Pegasus**
- www.jerzydlajezy.com • **Jerzy dla Jeży – Ośrodek Rehabilitacji Jeży w Kłodzku**
- www.psianiol.org.pl • **Fundacja Azylu pod Psim Aniołem**
- www.facebook.com/chrumki/ • **Azyl dla Świń „Chrumkowo"**
- www.kociswiat.org.pl • **Fundacja Azylu Koci Świat**
- www.japaczesercem.pl • **„Ja Pacze Sercem" – Fundacja Pomocy Kotom Niewidomym**
- www.przystanocalenie.pl • **Komitet Pomocy dla Zwierząt**
- www.orzw.pl • **Ośrodek Rehabilitacji Zwierząt Chronionych w Przemyślu**

rozdział 7.

OSZCZĘDZAMY, POMAGAMY

Z pamiętnika Marcela

50
88
+222
360 zł

1 października: Podsłuchałem dzisiaj, jak mama powiedziała do taty, że w tym roku chciałaby dostać na urodziny coś wyjątkowego. Nie słyszałem, co odpowiedział tata, ale widziałem, jak przeglądał później w komputerze swoje wyciągi z konta i głośno wzdychał. Nie jestem już mały i dobrze wiem, co takie wzdychanie oznacza: tata nie ma pieniędzy. I nic dziwnego, przecież wyremontowaliśmy strych, no i dokładamy się do utrzymania konia… Dlatego szybko zajrzałem do skarbonki. Nie było tak źle! Miałem całe osiemdziesiąt osiem złotych. To całkiem sporo! Poszedłem do taty i powiedziałem, że może na mnie liczyć. Ucieszył się.

3 października: Matylda postanowiła do nas dołączyć. Z jej pięćdziesięcioma złotymi robi się naprawdę spora kwota. We troje uzbieraliśmy trzysta sześćdziesiąt złotych. Tata jednak uważa, że to za mało i że musimy jeszcze trochę odłożyć, bo intuicja mu podpowiada, że mama marzy o wyjeździe do SPA, a to na pewno kosztuje fortunę. Długo się zastanawialiśmy, na czym możemy zaoszczędzić. W tym celu zaczęliśmy notować wszystkie swoje wydatki. Ja i Matylda dostajemy kieszonkowe. No nie są to, umówmy się, kokosy. Jak z tego coś odłożyć? Przecież czasem człowiek musi sobie kupić sok albo batonik… Tata powiedział, że batonik mogę sobie darować. No dobra. Spróbuję.

5 października: Oszczędzamy na całego. Tata już wcześniej nie szastał pieniędzmi, ale teraz wpadł na to, że uda mu się zaoszczędzić około stu złotych na paliwie, jeśli wszędzie będzie jeździł na rowerze. A to nawet lepsze dla zdrowia! Zaczął też zabierać do pracy herbatę w termosie, żeby nie korzystać z automatów. Nadal jednak chodzi na kawę do pani Lucynki, czyli do baru naprzeciwko księgarni, w której pracuje. Robi to tym chętniej, że pani Lucynka opowiedziała mu pewną niesamowitą historię…

Niesamowita historia pani Lucynki, czyli jak można zmienić czyjś świat, oszczędzając dwa złote dziennie

Wszystko to wydarzyło się kilka lat temu w niewielkim mieście. Większym od Pietruszkowej Woli, ale nie tak dużym jak Warszawa. Była tam szkoła podstawowa, w której pracowała pani Anastazja.

Pani Anastazja była kucharką. Gotowała dzieciom potrawy na zamówienie. Jeśli na przykład ktoś uwielbiał placki ziemniaczane, ona tak już to urządzała, żeby raz w miesiącu placki na obiad były. Chociaż gdy się gotuje dla dwustu dzieciaków, to jest to, musicie przyznać, strasznie ciężka robota. Pani Anastazja musiała być chyba kuchenną czarodziejką, ponieważ ta sztuka zawsze jej się udawała.

Kiedyś w szkole pojawił się bardzo biedny chłopiec. Antek mu było na imię. Antoś miał tylko mamę, która chorowała i nie zawsze mogła zrobić zakupy albo śniadanie. Dlatego zdarzało się, że chłopiec przychodził do szkoły głodny. Nikt nie miał o tym pojęcia, bo Antek się nie przyznawał, że coś jest nie w porządku. Jedyną osobą, która wiedziała o jego kłopotach, była pani Anastazja. I codziennie znajdowała sposób, żeby podetknąć mu a to kajzerkę z serem, a to dodatkowy kotlecik... Nie powinno więc nikogo dziwić, że dzieci uwielbiały panią Anastazję, a ona

uwielbiała dzieci. Gdy przeszła na emeryturę, w szkole zaraz zrobiło się jakby smutniej. Nowa kucharka robiła bardzo miłe wrażenie, no ale nie była panią Anastazją.

Aż pewnego dnia gruchnęła wiadomość: w mieszkaniu pani Anastazji wybuchł pożar! Wszystko się spaliło: i meble, i telewizor. Naczynia też popękały od ognia. Po prostu koszmar! Na szczęście starsza pani wybrała się z wizytą do kuzynki i nie było jej w domu. Dzięki temu nic jej się nie stało. Straciła jednak cały swój dobytek.

Nauczyciele, uczniowie, a także sąsiedzi od razu urządzili zbiórkę najpotrzebniejszych rzeczy, które przekazali pani Anastazji. Ale trzeba też było wyremontować mieszkanie. A jak to zrobić z niewielkiej emerytury, która ledwo starczała na lekarstwa i jedzenie?

Później nikt już nie wiedział, kto wpadł na ten pomysł – chociaż pani Lucynka twierdziła, że Antek. W każdym razie na pewno któryś uczeń. Dzieciaki postanowiły, że oszczędzą ze swojego kieszonkowego i zapłacą za remont mieszkania. Czy to możliwe, żeby dzieci odłożyły tyle pieniędzy? Cóż, jeśli jest ich dużo...

Umówiły się, że każdego dnia będą rezygnować z jednej drobnej rzeczy, takiej za dwa złote. I będą tę kwotę wrzucać do skarbonki, którą ustawią w szkolnym korytarzu. Dzieci było w szkole około dwustu. I pewnie nie każde z nich mogło czy chciało włączyć się do akcji. Ale zrobiła to przynajmniej połowa. Setka dzieci przez dziesięć miesięcy odkładała średnio dwa złote dziennie. Czyli sześć tysięcy złotych na miesiąc. Po dziesięciu miesiącach szkoła uzbierała dla pani Anastazji sześćdziesiąt tysięcy złotych, dzięki czemu podczas wakacji można było zrobić remont jej małego mieszkanka i jeszcze wystarczyło na wyprawę do sanatorium.

A wiecie, co jest najfajniejsze w tej historii? Że naprawdę się wydarzyła!

Z pamiętnika Matyldy

1 listopada: Dziś wybraliśmy się na grób naszych pradziadków – jeździmy do nich każdego roku. I zawsze kupujemy dużo zniczy. W tym roku postanowiliśmy jednak oszczędzić na lampkach – zrobiliśmy je sami. Z puszek po karmie naszych psów, słoików i resztek świec, które przetopiliśmy w starym rondelku. Tata oplótł knot ze sznurka cieniutkim drucikiem, żeby dało się go postawić prosto w rozpuszczonej stearynie. W ten sposób zaoszczędziliśmy kolejne trzydzieści złotych, no i daliśmy drugie życie puszkom i słoikom! A do urodzin mamy zostały całe dwa tygodnie.

5 listopada: Rozkręcamy się! Oszczędzanie wychodzi nam coraz lepiej! Zapisujemy wszystkie wydatki i próbujemy zastąpić najdroższe produkty tańszymi. Okazuje się, że bardzo dużo wydajemy na proszek do prania, dlatego postanowiliśmy spróbować zrobić go sami. W internecie znaleźliśmy przepis – trzeba wymieszać w równych częściach boraks, sodę kalcynowaną oraz nadwęglan sodu. Brzmi skomplikowanie, ale to są właśnie podstawowe składniki sklepowego proszku do prania. Bardzo tanie! Wystarczy je wymieszać w równych proporcjach i gotowe!

13 listopada: Już jutro urodziny mamy. No i, że tak powiem, straszny klops. Cały wysiłek na nic. To znaczy – nie na nic, bo zaoszczędziliśmy w sumie ponad pięćset złotych. Ale właśnie się okazało, że mama wcale nie chce jechać do żadnego SPA! Tata był bardzo rozczarowany, kiedy mu to dziś powiedziała. Przecież wspominała o wyjątkowym prezencie. No więc co by to miało być?

I wtedy nagle się wyjaśniło. Otóż mama wymarzyła sobie, żebyśmy razem pojechali do schroniska i wyprowadzili na spacer jakieś biedne pieski.

„Nasze dwie znajdki mają takie świetne życie – powiedziała mama. – Przykro mi, gdy myślę o tych wszystkich biedactwach siedzących w boksach".

Wiecie co? Muszę to napisać. Mam najfajniejszą mamę na świecie!

15 listopada: Ostatecznie stanęło na tym, że pojedziemy wyprowadzić psy i że kupimy im jakieś dobre puszki. I tak zrobiliśmy. Zostało nam jeszcze trochę pieniędzy, więc poszliśmy do kina. A mama powiedziała, że to były najfajniejsze urodziny w jej życiu.

Z niezbędnika ekologa

Jak się zabrać do oszczędzania

Ach, jak miło byłoby wejść do sklepu i natychmiast kupić upragnioną rzecz. Albo z miejsca zrealizować jakiś plan, na przykład pomóc komuś, kto tego potrzebuje. Niestety mało kto może pozwolić sobie na to, żeby wszystkie pragnienia spełnić od razu. I właśnie wtedy przydaje się oszczędzanie.

Jeśli chcecie nauczyć się oszczędzać, nie musicie wcale zakładać konta w banku. Skarbonka jest równie dobrym sposobem na to, żeby odłożyć parę złotych. A może nawet kilka skarbonek – jeśli macie więcej niż jedno pragnienie.

Do jednej możecie wrzucać pieniądze na te mniejsze marzenia – na przykład na nową grę albo książkę. Do drugiej – na większe. Choćby na nowy rower, hulajnogę albo komputer. Jeśli będziecie wytrwale zbierać, rodzice czy dziadkowie z pewnością od czasu do czasu coś tu dorzucą. Warto mieć także trzecią skarbonkę, do której włożycie pieniądze przeznaczone na prezenty albo na pomoc potrzebującym – ludziom i zwierzętom. Życie jest piękniejsze i pełniejsze, jeśli czasem kogoś wspomożemy. Dzielenie się sprawia tyle samo przyjemności, ile dostawanie prezentów!

Jeszcze jedna ważna sprawa

Czy zauważyliście, że rzeczy, na które musimy trochę poczekać, napracować się, zanim je osiągniemy, sprawiają nam większą przyjemność? Tak działa nasza psychika. Ludzie, którzy wyćwiczą w sobie cierpliwość, są po prostu szczęśliwsi. To jeszcze jeden powód, dla którego warto nauczyć się oszczędzać.

rozdział 8.

NAJFAJNIEJSZA GWIAZDKA BEZ PIENIĘDZY

Z pamiętnika Matyldy

11 grudnia: Robiliśmy dziś ozdoby na choinkę. Takie z bibułek i ze słomek. No i łańcuch z kolorowego papieru. Nasza mama uznała, że to znakomity sposób na ograniczenie plastiku. W końcu większość kupnych zabawek choinkowych jest właśnie ze sztucznego tworzywa.

13 grudnia: Zrobiliśmy chyba z dziesięć metrów łańcucha. Był prześliczny! Tylko że niestety był, a nie jest. Wczoraj do kurnika pani Heni zakradł się lis. Nasze psy natychmiast go wyczuły. Zaczęły szczekać i domagać się wypuszczenia na dwór. Myślałam, że chcą siusiu, i otworzyłam drzwi, a one jak się nie rzuciły przed siebie! Mój mądry braciszek dla żartu zdążył jeszcze przyczepić Klusce łańcuch do obroży. „To był jedyny na świecie – mówił później – szczęśliwy pies łańcuchowy!".

Kluska oczywiście porwała na kawałki nasze dzieło. Musimy zacząć od początku!

15 grudnia: Jest problem. Nie wiem, co bym chciała pod choinkę. Marcel naturalnie chciałby supertelefon, taki jaki ma Jasiek, nasz kolega z klasy. Tata od razu oświadczył, żeby na niego nie liczył. „A czy ty wiesz, ile lat taki smartfon rozkłada się na wysypisku?!" – mama próbowała przemówić do ekologicznego sumienia mojego brata, ale na wiele to się nie zdało. Dopiero słowa pani Heni przekonały Marcela. Sąsiadka przyszła, żeby pomóc w klejeniu nowego łańcucha, i opowiedziała nam mrożącą krew w żyłach bajkę...

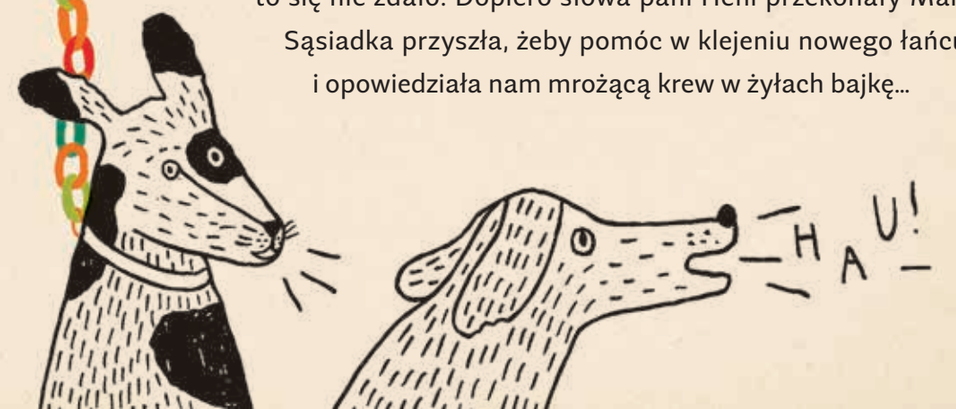

Bajka o Jaśku, jego matce i smartfonie

Dawno, dawno temu, za górami, za lasami, żyła sobie wdowa z jedynym synem, Jasieńkiem. Nie byli bogaci, ale mieli siebie, kotka Mruczka i pieska Gacka. A także słońce na niebie i rzekę za domem, i las, po którym można było biegać z psem.

Każdego dnia, przed świtem, matka wstawała do pracy i harowała do samego wieczora, żeby ukochanemu jedynakowi nie zabrakło ptasiego mleka.

I rzeczywiście, Jaś miał wszystko, o czym dziecko może marzyć: i klocki Lego, i gry na konsolę, i oczywiście komputer. Matka patrzyła z radością, jak ukochany syneczek ślicznie bawi się z kolegami.

„Dobrze! – myślała. – Jesteśmy biedniejsi od innych, ale po moim Jasieńku wcale tego nie widać. Ma najdroższe buty i spodnie, i koszulki... No i te zabawki! Każde dziecko może mu pozazdrościć!".

I tak faktycznie było. Dzięki temu, że mama pracowała od wschodu do zachodu słońca, a dla siebie samej nie chciała absolutnie niczego, Jaś miał najwięcej drogich zabawek. Gdy tylko pojawiało się w sklepie coś nowego albo gdy tylko któryś z jego przyjaciół dostał przedmiot, którego Jasiowi brakowało do kolekcji, chłopiec natychmiast szedł do mamy i mówił:

– Wiesz, mamusiu, mam takie marzenie...

A mamusia bez szemrania zakasywała rękawy i brała się do roboty, żeby tylko kupić jedynakowi wymarzony gadżet. Niestety czas biegł

nieubłaganie. Mama nie młodniała. Przeciwnie! Z roku na rok przybywało jej siwych włosów i ubywało sił. Wszystko to obserwowały dwie mądre wrony siedzące na gałęzi drzewa nieopodal domu Jaśka.

– Czy widzisz to samo, co ja, Brunhildo? – zapytała wrona z posiwiałym ze starości ogonem.

– Widzę, babciu Gertrudo – odpowiedziała jej wrona z czarnym ogonem.

– Chyba czas dać nauczkę tym niemądrym ludziom... – oświadczyła Gertruda i odfrunęła do lasu.

Wróciła po paru godzinach na ramieniu pewnej bardzo przystojnej i elegancko ubranej damy z teczką. Dama skinęła Gertrudzie głową, a kiedy wrona odleciała na swoją gałąź, nieznajoma zapukała do drzwi chaty.

– Dzień dobry – rzekła z uśmiechem, gdy drzwi się otworzyły.

– A dzień dobry, dzień dobry, skąd to Bóg prowadzi? – zapytała wdowa.

– Jestem przedstawicielką koncernu ABC, a państwo są naszymi najlepszymi klientami. Dlatego mam dla państwa bardzo korzystną propozycję.

– Tak? – zaciekawił się Jasiek. – A jaką?

– Przywożę wam najnowszego smartfona XYZ z nieograniczonym dostępem do internetu. Szybkiego jak światło! Nikt nie ma takiego w całej waszej okolicy! Na tym smartfonie można oglądać filmy, czytać maile, rozmawiać z przyjaciółmi, robić przelewy bankowe... No wszystko, po prostu wszystko robi się szybsze i prostsze. Człowiek ze smartfonem w garści jest o wiele szczęśliwszy.

– Och, tak, tak! Mamo, mamuśku złota! Kup mi tego smartfona!

Biedna matka aż przysiadła z wrażenia. Słusznie podejrzewała, że tak wyjątkowy towar musi mieć wyjątkowo wysoką cenę. Gdy elegancka dama ją podała – po wszystkich możliwych rabatach dla najlepszych klientów – nieszczęsna wdowa z trudem opanowała łzy.

– Tak cię kocham, mamuśku złota! Proszę, kup mi tego smartfona!

Kobieta szybko policzyła w głowie, ile dodatkowych nocy musi przepracować. Wyszło jej, że do końca roku nie zmruży oka, ale czego się nie robi, żeby spełnić życzenie jedynaka.

I Jasieńko dostał swój wymarzony telefon.

Od tego dnia wiele się zmieniło. Mama pracowała, a synek siedział pochylony nad małym ekranikiem.

– Ej, Jasiek, wyjdziesz pograć w piłkę? – pytali koledzy, ale on tylko kręcił głową.

– Jasiu, czy napisałeś wypracowanie? – pytała pani w szkole, ale on nie oderwał oczu od zabawki nawet wtedy, gdy nauczycielka postawiła mu trzecią z kolei jedynkę.

– Jasieńku, czy nie ugotowałbyś obiadu? Taka jestem zmęczona... – szeptała matka, ale synek tylko prychał ze złością:

– Nie widzisz, że gram na smartfonie?

I tak mijały dni, za dniami miesiące, a za miesiącami lata.

Pewnego dnia, surfując w internecie, Jasiek odkrył ze zgrozą, że w sklepach pojawił się zupełnie nowy smartfon, o wiele lepszy.

– Mamo! – zawołał. – Mamo, muszę mieć nowy telefon!

Po raz pierwszy popatrzył na swoją matkę uważniej. O rety! Co się stało? Strasznie się zestarzała! Tak się jakby skurczyła, zrobiła się taka malutka... Odpędził jednak przykrą myśl. Bardzo chciał mieć ten najnowszy, najlepszy telefon.

A mama – jak to mama – postarała się jeszcze bardziej i kupiła mu wymarzone cacko.

Nowy telefon pozwalał na jeszcze szybsze surfowanie po internecie, miał lepsze kolory i dźwięk... Chłopiec zapomniał o całym świecie. Nie zauważył, kiedy minął kolejny rok, a potem jeszcze jeden. Mama kupowała telefon za telefonem. Przestali nawet ze sobą rozmawiać, nie mówiąc o chodzeniu na spacery czy graniu w planszówki. Koledzy już się Jaśkiem nie interesowali, bo nie brał udziału w rozmowach, wiecznie pochłonięty swoim ekranikiem...

Aż nagle pewnego dnia wydarzyło się coś niesamowitego. Jasiek poszedł do łazienki – jak zwykle z telefonem – jednak coś odciągnęło jego uwagę od ekranu. Była to mucha, duża zielona mucha, która wleciała przez okno łazienki i usiadła na lustrze. Mimo woli zerknął w srebrną

taflę, choć i tego nie robił od dawna. Zobaczył niezbyt sympatycznie wyglądającego obcego mężczyznę o przekrwionych oczach. Mężczyzna ten miał siwe skronie i jakieś takie dziwne wąsy...

Aż krzyknął nasz Jasiek ze strachu. Kim był ten obcy postarzały człowiek? Podniósł rękę do twarzy – odbicie zrobiło to samo. Tak, nie było wątpliwości, to on! On sam!

– Mamo! – krzyknął przestraszony, wybiegając z łazienki. – Mamo, ktoś mi ukradł kawał życia! Nie zauważyłem nawet, jak stałem się dorosły! Jak zacząłem się starzeć!

– Co mówisz, kochanie? – Matka uniosła się z fotela i wtedy zauważył, że jest już całkiem starutka. Siwa, drżąca i pomarszczona.

– Co się z tobą stało, mamo?! – Jasiek nie mógł uwierzyć własnym oczom.

– Cóż począć, syneczku kochany. – Starowinka uśmiechnęła się smutno. – Muszę pracować od rana do nocy, a czasem i w nocy, żeby tylko niczego ci nie zabrakło. To i starzeję się szybciej.

Jasiek cofnął się przestraszony. To wszystko było straszne, okropne!

– Nie – powiedział z mocą. – Nie chcę tego! Chcę dostać z powrotem cały czas, który mi uciekł! Nie chcę cię, słyszysz?! – zawołał, podnosząc do oczu telefon. – To przez ciebie zapomniałem, że muszę żyć!

I cisnął smartfonem o drewnianą ścianę chaty.

Wszystko to obserwowały siedzące na gałęzi przed domem dwie mądre wrony.

– Wydaje mi się, Brunhildo, że mają już dosyć – powiedziała pierwsza.

– Ja też tak uważam, babciu Gertrudo – odkrakała druga. – Trzeba wezwać naszą leśną damę.

Chwilę później w progu chaty stanęła elegancka dama z teczką.

– Dzień dobry. – Weszła do środka zupełnie bez pukania.

– Jak pani śmie tu przychodzić! – krzyknął rozżalony Jasiek. – To wszystko przez panią! Moja mama roztrwoniła zdrowie i siły, a ja... ja straciłem swoje dawne życie! Nie chcę już tego smartfona! Nic nie chcę! Chcę żyć, chodzić na spacery z mamą, mieć przyjaciół i grać z nimi w piłkę!

– No i pięknie. – Elegancka dama uśmiechnęła się życzliwie. – Widać, że nabrałeś rozumu. A pani? Czy i pani zmądrzała?

Mama Jaśka popatrzyła na nią smutno.

– Chciałam dać swojemu dziecku to, co najlepsze. Ale wcale nie dałam najlepszego, tylko – najdroższe!

– Otóż to! Widzę, że oboje czegoś się nauczyliście. Jeszcze tym razem wam daruję!

A potem machnęła swoją teczką w prawo i lewo i nagle chata zawirowała w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. I chwilę później Jan z wąsami był z powrotem małym Jaśkiem, a jego mama – no, może nie była bardzo młoda, ale na pewno dużo, dużo młodsza niż jeszcze przed chwilą.

Oboje tak się ucieszyli, że padli sobie w ramiona, a potem poszli na spacer z psem.

Z pamiętnika Marcela

22 grudnia: W tym roku choinki będą w doniczkach. Razem z panią Szczypiorek cała nasza klasa przywiozła ze szkółki drzewka w pojemnikach. Plan jest taki, że po świętach, na wiosnę, zasadzimy drzewka i my, dzieci, będziemy mieć własny las. Burmistrzyni Pietruszkowej Woli, czyli mama, przeznaczyła na to kawałek pola, na którym nic dotąd nie rosło. To o wiele lepszy pomysł niż ścinanie drzew.

23 grudnia: Tak, marzyłem o smartfonie, o quadzie i o własnym telewizorze. Wiem, że na pewno ich nie dostanę, ale tata powiedział, że przygotował dla nas coś... bardzo do tych rzeczy podobnego! Ogromnie jestem ciekaw, co to będzie!

27 grudnia: No więc to była totalna niespodzianka! Mieliśmy w tym roku najbardziej niesamowite święta! I niesamowite prezenty! Zamiast smartfona ja i Matylda dostaliśmy długą rurę, którą tata przeciągnął ze strychu do dużego pokoju. Potem rozmawialiśmy, mówiąc do rury, i świetnie się słyszeliśmy. Zabawa była naprawdę genialna, a najlepiej bawiła się mama, która opowiadała tacie przez rurę dowcipy. Nie znaleźliśmy też pod choinką telewizora, za to rodzice zrobili dla nas teatr cieni. Nieźle się napracowali. A najwspanialsza ze wszystkiego okazała się przyczepka do wożenia psów – taka do roweru. W tym roku nie ma śniegu, więc urządziliśmy sobie wycieczkę rowerową. Urwis i Kluska oczywiście pojechali w przyczepce. W końcu są członkami rodziny i należy im się trochę przyjemności!

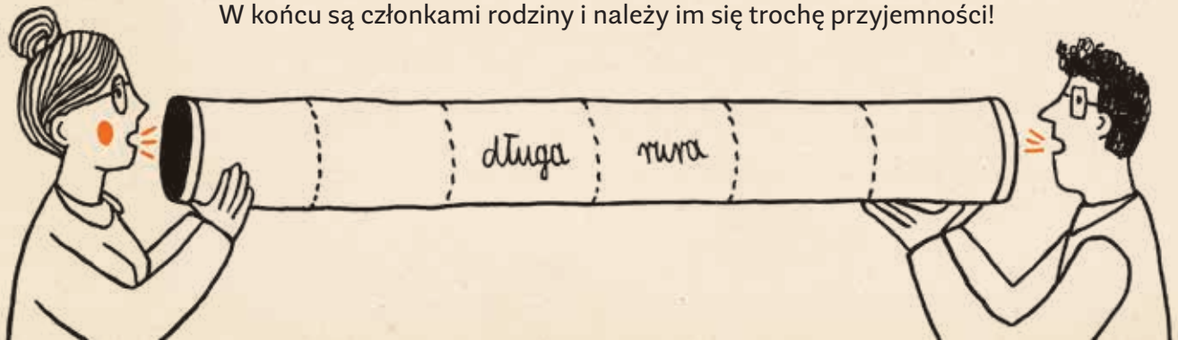

Z niezbędnika ekologa

Co zamiast smartfona lub szminki – czyli pomysły na prezenty bez pieniędzy dla całej rodziny

1. Talon na dowolną usługę – na przykład na opowiedzenie bajki, zrobienie masażu stóp, upieczenie ciasteczek lub cokolwiek innego, co się lubi.
2. Samodzielnie napisany wiersz.
3. Śniadanie do łóżka (szczególnie mamy to lubią).
4. Stworek do przytulania wykonany ze skarpetki.
5. Drapanie za uchem (idealny prezent dla psa).
6. Wspólna wyprawa na drugi koniec miasta (lub wsi) – ofiarodawca przygotowuje się do tej wyprawy i dowiaduje wszystkiego o okolicy, aby móc służyć obdarowanemu za przewodnika. Może opowiedzieć o rosnących po drodze drzewach, o mijanych budynkach, o ciekawych ludziach, którzy mieszkali w pobliżu, i tak dalej.
7. Kurs rozpoznawania chmur. Najpierw samemu trzeba się tych chmur nauczyć, na przykład z internetu, ale to nie jest trudne!
8. Osobiście wykonany piling cukrowy (trzeba wymieszać cukier z olejem kokosowym – to prezent raczej dla mamy lub siostry).
9. Sesja zdjęciowa zrobiona komórką.
10. Wyhodowana własnoręcznie roślinka – z nasionka albo z sadzonki. Najlepiej drzewko szczęścia!

rozdział 9.

TAKA ZIMA

Z pamiętnika Matyldy

4 stycznia: Ja i Marcel mieliśmy cudownego sylwestra. Zaprosiliśmy kolegów z klasy i całą noc spędziliśmy na strychu. Najpierw graliśmy w planszówki, potem opowiadaliśmy sobie straszne historie, a na koniec bawiliśmy się w wyzwania. W zasadzie jest to taka sobie zwykła gra w karty, tylko że ten, kto przegra, musi spełnić życzenie tego, kto wygra. Marcel grał przeciwko Tomkowi i oczywiście wygrał. Bo mój brat ma wyjątkowe szczęście do kart. No i zażyczył sobie, żeby... Tomek częściej chodził z psem na spacer. Bo Tomek ma psa, wielkiego burego kudłacza, który spędza całe dnie w boksie. Ciekawe, co z tego wyniknie...

7 stycznia: Do licha z taką zimą. Zupełnie nie ma śniegu. Rodzice odwołali wyjazd w góry na narty, bo po co jechać, skoro stoki całe zielone? Bardzo się zmartwiliśmy, ale chyba jeszcze bardziej zmartwiona była gospodyni, u której mieliśmy mieszkać. No jasne, nie ma śniegu – nie ma turystów.

Mama powiedziała, że wszystkiemu winne są zmiany klimatyczne. Wywołuje je działalność człowieka: wycinanie lasów deszczowych, przemysłowa hodowla zwierząt i używanie paliw kopalnych. Głównym winowajcą jest jeden z gazów cieplarnianych – dwutlenek węgla, który ludzkość bez opamiętania emituje do atmosfery. To przez niego mamy globalne ocieplenie.

10 stycznia: Przez dwutlenek węgla i ocieplenie klimatu nie będzie w tym roku bałwana. Ale to najmniejszy problem. Tata się niepokoi, bo pąki na jabłonkach w naszym niewielkim sadzie wyglądają tak, jakby drzewa zaraz miały wypuścić listki. A przecież to za wcześnie! Jeśli zakwitną za szybko, a w którymś momencie jednak przyjdzie mróz, pożegnamy się z owocami w tym roku. Zresztą co tam jabłka! Przez ocieplenie klimatu topi się lód na Antarktydzie. Ona się po prostu kurczy i wiele zwierząt traci przez to miejsce do życia. Dziś w telewizji oglądałam niesamowity film o niedźwiedziu polarnym...

Historia białego niedźwiedzia i dziewczynki o imieniu Gana

Kiedy malutka Gana przyszła na świat, jej mama – nazywana przez wszystkich Tą, Która Ma Czarny Warkocz – popatrzyła na córeczkę, pocałowała ją w zadarty nosek, a potem powiedziała:

– Jest bielutka jak śnieg, dlatego będę na nią wołać Gana. Bo to znaczy właśnie Padający Śnieg.

Na te słowa maleństwo zaczęło się wiercić w beciku i robić miny tak śmieszne, że jego tata – Ten, Który Ma Wielki Nos – zachichotał i stwierdził, że najwyraźniej imię się spodobało.

Gana rosła rodzicom zdrowo. Szybko nauczyła się chodzić i mówić. I ani się obejrzeli, jak zaczęła ogrywać ich w kości.

– Ta mała jest bardzo sprytna – powtarzał Ten, Który Ma Wielki Nos. – Nie zdziwiłbym się, gdyby została szamanką albo poławiaczką ryb. Będziemy z niej mieli pociechę!

Na takie słowa Ta, Która Ma Czarny Warkocz kiwała głową i puchła z dumy.

Pewnego dnia wydarzyło się coś niezwykłego. Gana wybrała się razem z ojcem na ryby. Siedzieli nad wodą i zarzucali wędki. Tata opowiadał córeczce, jak wyglądał świat, kiedy on sam był chłopcem. A Gana słuchała z wypiekami.

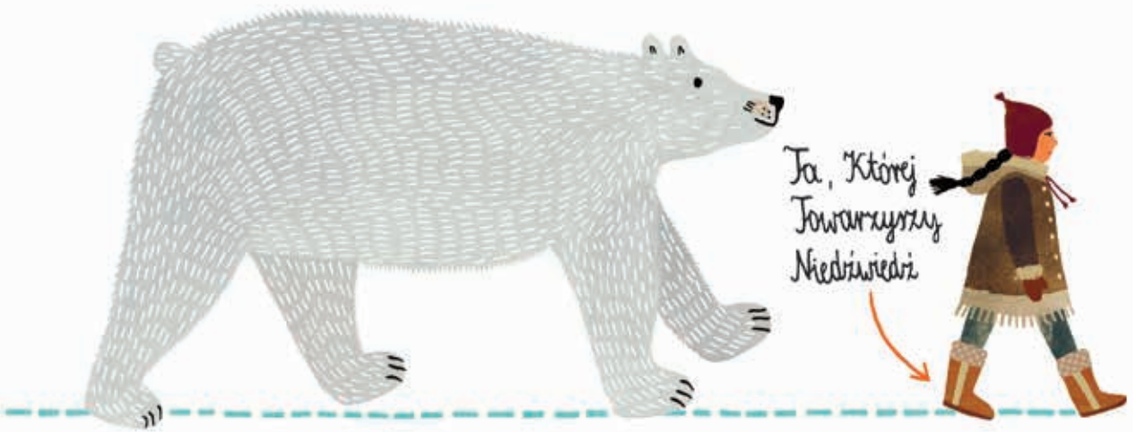

W pewnej chwili mężczyzna podniósł się i ruszył po torbę, którą zostawił parę metrów dalej. Miał w niej wędzone ryby na obiad dla siebie i córki. I właśnie wtedy zdarzyło się nieszczęście. Kawałek kry lodowej, na której Gana machała beztrosko nóżkami, odłamał się i wpadł do wody. Przerażony ojciec nie zdążył z pomocą.

Dziewczynka płynęła na otwarte morze. Wyglądało to naprawdę źle. I gdy wydawało się, że wszystko stracone, nagle z wody wynurzył się biały niedźwiedź.

Zwykle ludzie i niedźwiedzie polarne nie wchodzą sobie w paradę. Boją się siebie nawzajem. Dlatego Ten, Który Ma Wielki Nos aż krzyknął ze zgrozy. Tymczasem jednak niedźwiedź złapał zębami krawędź kry, na której kuliła się maleńka Gana, i zaczął płynąć do brzegu.

Gdy kra znalazła się wystarczająco blisko, tata rzucił córeczce koniec swojego paska i wciągnął dziewczynkę na ląd.

– Moja maleńka Gano! – Ojciec popłakał się ze wzruszenia.

– On mnie uratował, tatusiu – powiedziała dziewczynka, wypatrując wielkiego białego łba w oceanie. Ale niedźwiedź zdążył już zniknąć.

Pojawił się kilka dni później, gdy Gana wybrała się do sąsiadki po odrobinę tłuszczu do lampek. Wyłonił się z zaspy i szedł za nią, jakby

jej pilnując. Kolejny raz ukazał się pośród zamieci, gdy Gana i Ta, Która Ma Czarny Warkocz biegły do domu, zaskoczone przez zadymkę. Utorował im drogę w śniegu. Potem wiele razy pomagał Ganie w łowieniu ryb – dla niej nurkował po te najtłustsze. Innym znów razem, gdy Ganę napadli złodzieje, zjawił się znikąd, stanął na dwóch łapach i zaryczał tak przerażająco, że opryszki uciekły gdzie pieprz rośnie.

Gany już nie nazywano Ganą, tylko Tą, Której Towarzyszy Niedźwiedź.

– To się zdarza raz na tysiąc lat – powiedziała stara szamanka. – Ta dziewczyna naprawdę jest kimś niezwykłym.

Minęło wiele lat. Gana nie była już dzieckiem ani nawet młodą dziewczyną. Była dorosłą kobietą.

Siedziała na brzegu w towarzystwie swojej córki, z którą czyściła złowione ryby.

– Mamo, popatrz! – krzyknęła dziewczynka, nazywana Tą, Która Ma Słońce W Oczach.

Gana podniosła się i aż krzyknęła. Od razu poznała swojego niedźwiedzia. Jej obrońca stał na niewielkim wzniesieniu – wychudzony, przestraszony. W ostatnich latach stopniały ogromne połacie lodu. Niedźwiedzie, których pokarmem są przede wszystkim foki, straciły do nich dostęp. Brak pokrywy lodowej oznaczał dla nich głód. Ludzie nie dokarmiali białych niedźwiedzi, bo to było niebezpieczne...

Ale Gana nie posłuchała ostrzeżeń. To był jej niedźwiedź. Przyjaciel, który tyle razy uratował jej życie. Dlatego zaczęła go dokarmiać i zdołała ocalić.

– A co z innymi niedźwiedziami? – spytała matkę Ta, Która Ma Słońce W Oczach.

– W ocaleniu innych niedźwiedzi będą musieli nam pomóc ludzie na całym świecie – powiedziała mama i przytuliła córeczkę.

Z pamiętnika Marcela

15 stycznia: Nie zgadzam się, żeby zimy nie było już całkiem. Co z nartami? A sankami? A łyżwami? Ja i Matylda postanowiliśmy, że się nie poddamy. Wiemy już, że najpierw trzeba zmniejszyć emisję dwutlenku węgla. Zgłębiłem temat. I odkryłem, że na przykład warto jeść więcej warzyw, a mniej mięsa. Bo zwierzęta hodowlane emitują bardzo dużo gazów. No tak! Puszczają bąki! Poza tym warto częściej wskakiwać na rower niż do samochodu. Rower nie emituje gazu, a samochód – owszem. Kolejna sprawa: zakupy. Wyprodukowanie jednego komputera kosztuje Ziemię tyle samo, ile przejechanie dwóch i pół tysiąca kilometrów samochodem. Aż strach pomyśleć, jak wiele złego robi latanie samolotami...

20 stycznia: Najpierw trochę się załamałem. No bo nawet gdybym nigdy nie kupił samochodu, nie jadł mięsa, oszczędzał prąd, to i tak trudno mi będzie powstrzymać ocieplenie klimatu samemu. Czy, powiedzmy, razem z siostrą. Siedziałem więc sobie w kąciku, okropnie zmartwiony. I wtedy przyszła Matylda i powiedziała mi, że Tomek namówił rodziców, żeby całkiem rozebrali boks Kaktusa. To znaczy ich groźnego burego psa. Kaktus biega sobie teraz na wolności i wiecie co? Okazało się, że wcale nie jest taki straszny.

I nagle mnie olśniło. W jednej chwili zrozumiałem, że jeśli poprawiłem życie tego jednego psa, to może namówię też parę osób, żeby zadbały o klimat. Albo więcej niż parę. Kto wie, może mam tę moc? I jak się tak razem postaramy, to może, może jeszcze wróci zima. A w każdym razie świat, który znamy, nie zniknie całkiem za trzydzieści czy czterdzieści lat.

Postaramy się, co? Wy, moja siostra i ja.

Z niezbędnika ekologa

Jak przeciwdziałać ociepleniu klimatu

Przeczytajcie uważnie wskazówki poniżej pochodzące ze strony internetowej **www.klimat.edu.pl**. Agnieszka Wnuk, Gosia Świderek i Krzysztof Wychowałek opracowali je na podstawie poradnika WWF *Jak oszczędzać energię w domu* oraz broszury przedstawicielstwa Komisji Europejskiej w Polsce *Ty też masz wpływ na zmiany klimatu*. No właśnie – wy też możecie walczyć ze zmianami klimatycznymi! Zastanówcie się, co jeszcze da się zrobić, i może sporządźcie z rodzicami własną listę?

Oszczędzajcie energię elektryczną

- Poproście rodziców, żeby wymienili żarówki na energooszczędne świetlówki lub lampy LED. Stosowanie żarówek energooszczędnych zmniejsza pobór prądu nawet o 80%.
- Wyłączajcie wszystkie lampy i inne urządzenia, gdy z nich nie korzystacie.
- Zwróćcie rodzicom uwagę, że kupując sprzęty AGD, należy wybierać te energooszczędne (oznaczone symbolami A, A+, A++, A+++).
- Pralkę i zmywarkę włączajcie tylko wtedy, gdy są pełne (oszczędzicie wodę i energię).
- Poproście rodziców, żeby robili pranie w jak najniższej temperaturze i gotowali potrawy pod pokrywką. Takie gotowanie pozwala oszczędzić nawet trzy razy więcej energii.
- Nie przegrzewajcie mieszkania. Średnia temperatura w pokoju powinna wynosić 20–21°C. Zmniejszenie jej o 1°C oznacza spadek kosztów ogrzewania o 7%.
- Nie zostawiajcie urządzeń w trybie stand-by ani ładowarek w gniazdku.

Oszczędzajcie papier

- Drukujcie dwustronnie.
- Wybierajcie papier makulaturowy. Jego produkcja pochłania w przybliżeniu 70% mniej energii niż produkcja zwykłego papieru.
- Zapisujcie zeszyty do końca.
- Korzystajcie z papieru toaletowego i ręczników z makulatury.
- Zbierajcie makulaturę.

Oszczędzajcie wodę

- Zakręcajcie kran, kiedy myjecie zęby, bierzcie prysznic zamiast kąpieli – oszczędzicie w ten sposób wodę i energię potrzebną do jej podgrzania.
- Dokręcajcie kapiące krany.
- Jedzcie mniej mięsa: do wyprodukowania jednego hamburgera zużywa się tyle samo wody, ile do brania prysznica przez cały rok.
- Kupujcie mniej nowych ubrań – jedna para dżinsów to dziesiątki tysięcy litrów wody użytych do jej wytworzenia.
- Namówcie rodziców na zainstalowanie wodomierza, jeśli to możliwe.
- Jeżeli macie ogród, podlewajcie go późnym wieczorem lub wcześnie rano, gdy jest chłodniej. Dzięki temu parowanie nie będzie tak intensywne, a rośliny wchłoną więcej wody. Do podlewania używajcie deszczówki, którą warto gromadzić w dużych kontenerach postawionych pod rynnami.

Postawcie na rower, pociąg i... nogi

- W mieście starajcie się poruszać pieszo lub rowerem, a nie samochodem. Korzystajcie z transportu publicznego.
- Wybierajcie podróż pociągiem zamiast samolotem. Samoloty emitują duże ilości dwutlenku węgla do atmosfery.
- Powiedzcie rodzicom, że warto zdjąć z samochodu bagażnik. To oszczędność paliwa.

Kupujcie z głową

- Wybierajcie produkty lokalne i sezonowe, dzięki czemu ograniczycie energochłonny transport.
- Ograniczcie również produkty odzwierzęce w diecie. Chów zwierząt, zwłaszcza ten przemysłowy, wiąże się z ich cierpieniem i z intensywną emisją dwutlenku węgla oraz metanu.
- W miarę możliwości wybierajcie produkty bez opakowania albo takie w opakowaniach wielokrotnego użytku.
- Nie używajcie torebek foliowych.
- Unikajcie produktów jednorazowych. Wybierajcie produkty trwałe i wysokiej jakości, tak aby służyły wam jak najdłużej.

Wytwarzajcie jak najmniej śmieci

- Kupujcie tylko to, co jest wam naprawdę potrzebne.
- Dzielcie się z innymi: wymieniajcie się książkami, grami czy zabawkami.
- Niepotrzebne niezniszczone przedmioty przekazujcie innym.
- Segregujcie odpady.
- Jeśli macie taką możliwość, kompostujcie z rodzicami odpady organiczne.
- Drugie śniadanie zabierajcie do szkoły w wielorazowym pojemniku z materiału przyjaznego planecie (jak bambus) lub w woskowijce, a nie w jednorazowej torebce czy folii aluminiowej.

Ratujcie drzewa

- Drzewa pochłaniają dwutlenek węgla, który jest główną przyczyną globalnego ocieplenia. Dlatego oszczędzajcie papier i zbierajcie makulaturę. Czy wiecie, że jedna tona odzyskanego papieru pozwala ocalić siedemnaście drzew?
- Na drewnianych produktach szukajcie symboli FSC i PEFC. Oznaczają one, że drewno, które kupujecie, pochodzi z dobrze zarządzanych lasów.

FSC®

PEFC™

Justyna Bednarek (ur. 1970)

Z wykształcenia romanistka, z powołania pisarka dziecięca, autorka ponad pięćdziesięciu książek, w tym *Niesamowitych przygód dziesięciu skarpetek (czterech prawych i sześciu lewych)*, które weszły do kanonu lektur szkolnych, a także *Pięciu sprytnych kun*, *Babcochy*, *Pan Stanisław odlatuje* oraz serii dla przedszkolaków *Dusia i Psinek-Świnek*. Zdobyła wiele nagród literackich (m.in. Nagrodę Literacką m.st. Warszawy, nagrodę w Konkursie na Najlepszą Książkę Dziecięcą Przecinek i Kropka, Nagrodę Literacką im. Kornela Makuszyńskiego, a ostatnio, za *Zielone piórko Zbigniewa. Skarpetki kontratakują!*, nagrodę w konkursie Książka Roku Polskiej Sekcji IBBY). Zanim spełniła swoje marzenie o pisaniu bajek, przez wiele lat pracowała jako dziennikarka, najdłużej – w miesięczniku „Kuchnia". Mieszka w Warszawie, ma troje dzieci, trzy psy, kota, dwie kury i dwa kaczory biegusy, z których jeden nazywa się Katarzyna. Jej dzieci mają dodatkowo dwie szynszyle (Oberżynę i Panią Pumpernikiel) oraz kota i psa, które się całują, kiedy nikt nie patrzy.

fot. Julita Delbar, Klitka Atelier

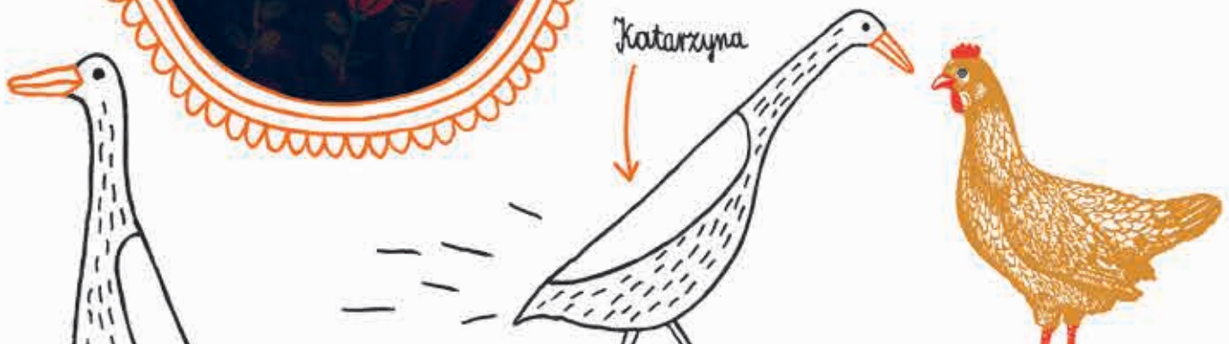

fot. Marta Skibińska

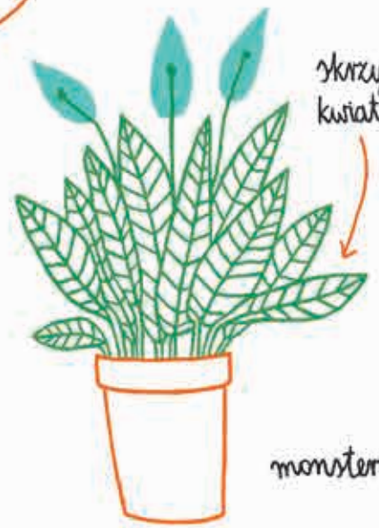

skrzydłokwiat

monstera

Joanna Czaplewska (ur. 1993)

Projektantka graficzna i ilustratorka współpracująca z wieloma instytucjami kultury. Absolwentka Wydziału Grafiki gdańskiej Akademii Sztuk Pięknych, obecnie asystentka na macierzystym wydziale. Wraz z Katją Widelską zilustrowała książkę Elżbiety Pałasz *Trzy, dwa, raz, Günter Grass*, która otrzymała wyróżnienie graficzne w konkursie Książka Roku Polskiej Sekcji IBBY. Inne jej ilustracje powstały m.in. do *Gdyńskich wędrówek kota Antoniego* Doroty Abramowicz, *Dobrej roboty* Elżbiety Pałasz i *Historii kobiet* Katarzyny Radziwiłł. Mieszka w Gdyni, o pięć minut drogi od morza, a jej najczęstszy widok z okna to przelatujące z krzykiem mewy. Matka czterech skrzydłokwiatów i trzydziestu pięciu innych roślin doniczkowych, a także niestrudzona zbieraczka książek, głównie tych z obrazkami. Lubi jeździć na rowerze.

Parę słów do dorosłych

ING Bank Śląski oraz Fundację ING Dzieciom tworzą ludzie, którzy wiedzą, że od dziś podejmowanych decyzji zależy to, jaką rzeczywistość zastaną następne pokolenia. W centrum naszych działań zawsze był i jest człowiek, a teraz znalazły się w nim również wyzwania związane z kryzysem klimatycznym. Razem będziemy w stanie uczynić wiele dobrego na rzecz środowiska. Jeśli jednak pozostaniemy obojętni, nic już nie zatrzyma postępującej degradacji Ziemi.

Każdego dnia możemy zmieniać nawyki, rozsądniej wykorzystywać zasoby naturalne, edukować, doskonalić innowacyjną technologię i w ten sposób chronić naszą planetę. My już zaczęliśmy to robić i chętnie się dzielimy zdobytymi doświadczeniami*.

Przyszłością Ziemi są najmłodsi; wierzymy w ich intuicję, mądrość i wrażliwość. Fundacja ING Dzieciom nieprzerwanie wspiera rozwój dzieci, zwłaszcza tych, których start w dorosłość z różnych powodów – zdrowotnych lub socjalnych – jest utrudniony. Ale czy rzeczywiście dzieci mogą zmienić los planety? Jesteśmy przekonani, że tak, zwłaszcza z pomocą nas wszystkich – rodziców, dziadków, nauczycieli. Aby ocalić miejsce, w którym żyjemy, potrzebne są wielkie inicjatywy, lecz także mikroakcje.

ING Bank Śląski wspólnie z Fundacją ING Dzieciom opublikował dotąd dwie książki dla dzieci: *Kosmita* oraz *Lucjan. Lew, jakiego nie było* Roksany Jędrzejewskiej-Wróbel. Obie te pozycje poruszały ważne tematy społeczne i nie inaczej jest w przypadku naszej najnowszej publikacji. Pokazuje ona, jak istotne są codziennie dokonywane wybory i jak bardzo jesteśmy powiązani niewidzialną nicią zależności. Matylda i Marcel, bohaterowie ekoopowieści Justyny Bednarek, pomogą młodemu czytelnikowi odkryć te zależności i je zrozumieć.

Dzieci są odważne, kreatywne i bezkompromisowe. Zależy nam na tym, by wspierać ich plany, postanowienia, marzenia. Nie tylko osobiste – również te, które składają się na wspólne dobro i oznaczają czystsze powietrze, mniej plastiku, mniej ginących gatunków zwierząt i roślin, mniej niepotrzebnych przedmiotów w naszym otoczeniu. Przeczytajmy tę książkę razem. I razem spróbujmy uratować świat.

ING Bank Śląski
Fundacja ING Dzieciom

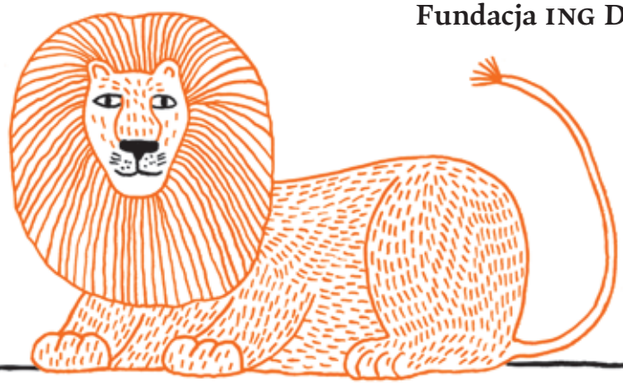

Informacje o działaniach Fundacji ING Dzieciom oraz nasze książki znajdziecie na stronie www.ingdzieciom.pl. Zachęcamy do obserwowania nas na Facebooku, Instagramie i LinkedIn oraz do podzielenia się wrażeniami z lektury ekoopowieści. Piszcie do nas na adres: fundacja@ingdzieciom.pl.

* Działania ING Banku Śląskiego na rzecz planety opisujemy na www.ing.pl, Facebooku, LinkedIn, a także w *Zintegrowanym Raporcie Rocznym ING*.

© ING Bank Śląski,
Fundacja ING Dzieciom
ING Bank Śląski S.A.
ul. Sokolska 34, 40-086 Katowice
www.ing.pl

Książkę wydrukowano na papierach Pergraphica® Classic Smooth 120 g, SH Recycling 140 g oraz Wibalin® Natural White 120 g, dystrybuowanych przez Papierowy Dizajn, Europapier Polska Sp. z o.o. Do ich produkcji użyto celulozy wytworzonej z drzew rosnących na terenach zrównoważonego pozyskiwania zasobów leśnych.

W druku użyto certyfikowanych farb RESISTA® COFREE – bez olejów mineralnych i kobaltu oraz na bazie surowców odnawialnych.

Dziękujemy Panu Grzegorzowi Zalewskiemu z Wydawnictwa Linia za pomoc podczas procesu produkcyjnego, a Młodzieżowemu Strajkowi Klimatycznemu i Pani Marcie Karbowiak za konsultacje.

Redaktor prowadząca, redakcja ☛ **Joanna Wajs**
Redakcja techniczna, opracowanie DTP ☛ **Joanna Czaplewska**
Opieka merytoryczna ☛ **Joanna Warmuz**, **Joanna Dymna-Oszek**, **Agata Tomaszewska**
Korekta ☛ **Zuzanna Laskowska**

ISBN 978-83-959395-0-1
PRINTED IN POLAND
Wydanie pierwsze
Druk ☛ Petit Skład-Druk-Oprawa Spółka Komandytowa
ul. Tokarska 13, 20-210 Lublin
EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

ISBN 978-83-959395-0-1

Jak powstrzymać dyrektora Paskudka, truciciela z Pietruszkowej Woli? Czy najeźdźcy z planety Folia opanują Ziemię? No i co zrobić ze starymi kalesonami taty? Odpowiedzi na te oraz inne pytania udzielą wam Matylda i Marcel, bliźnięta, które codziennie ratują świat – nawet jeśli nie zawsze o tym wiedzą.

Justyna Bednarek pokazuje w swoich ekoopowieściach, że nawet najmniejsze decyzje mają duże znaczenie – dla środowiska, klimatu, zwierząt i drugiego człowieka. Ale na szczęście dobrych wyborów można się nauczyć. Zróbcie sami proszek do prania, torbę na zakupy albo dywanik z dziurawych rajstop – to wcale nie jest trudne! A zamiast kupować mamie prezent na urodziny, nauczcie ją rozpoznawania chmur...

Wierzymy w mądrość i wrażliwość najmłodszych czytelników tej książki. To od nich będzie zależeć przyszłość naszej planety. Lecz jeśli my, dorośli, damy im wsparcie, wiedzę i siłę, dzieci – poprzez swoje rozważne wybory – zaczną ratować świat już dziś.

[**Brunon Bartkiewicz**, prezes ING Banku Śląskiego]

Fundacja ING Dzieciom

ING